

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 20 stycznia 1946 r.

Nr. 2 (30)

JAN ALEKSANDER KRÓL

„One wiele dobrego zdziały...”

(Wspomnienie o pisarstwie ludowym sprzed 40 laty)

Otrzymałem list od starego Jana Sobka z rzeszowskiego. przypomina w nim, że słuszną byłoby rzeczą wydać książkę obejmującą życiorysy, wybrane artykuły i wiersze pisarzy ludowych, których działalność szczególnie nasilenia nabrała w pierwszym dziesiętku XX w. Wymienia ich Sobek nie małą garść:

Byliby to — Jan Babicz — z Niedźwiedzie, pow. Ropczyce.

Franciszek Wójcik — z Wyciąz pod Krakowem.

Wojciech Potok — ze Zaborowic pod Grzybowem.

Maciej Czula — z Grabia pod Brzeskiem.

Antoni Stona z „Ostrys” pod Makowem.

Piotr Wyrobek — z Osiecia w Krakowskim.

Jan Sobek z pod Łańcuta.

Kachna Łęczynianka — z Łęcznej w Lubelskim.

Antoni Kucharczyk z Taszkówki.

Władysław Breowicz

i wielu, wielu innych.

Z książki tej — jak pisze Sobek — młode pokolenie chłopów „mieć może wzór i początek przez nas im pozostawiony”.

Przypomni mi sobie te lata, okracające ko nieć wieku XIX i początek XX-tego. Mogą tu wchodzić w rachubę trzy ruchy. Jeden to — chłopomański ruch kulturalny idący od miasta (Tetmajer, dr. Chałubiński, Witkiewicz, Wyspiański, Rydel, Reymont) — w gruncie rzeczy starający się utrwalic wieś

„odziana w kwiatiste zapaski
pawie pióra, pstre opaski”.

jak sztydzi Kubiniec. Drugi — polityczny, ludowy (ks. Stojalowski, Boiko jeszcze z sejmu galicyjskiego, Stapiński, Malinowski, Witos, Dąbski). Trzeci — społeczny, najwyraźniej sformułowany w socjalistycznym ruchu robotniczym.

W jakimże stosunku do tych ruchów pozostają wymienieni przez Sobka pisarze?

ONI „TEORIE” NIE LEKCEWAŻYLI

Zdawałoby się, że najbliższy powinien być im albo ruch chłopomański — kulturalny, albo ludowo — polityczny. A tymczasem?...

Od politycznego oddzieliło ich to, co stano wi w ogóle o pisarstwie — słowo pisane. Powiada jeden z nich „przekonał się, że więcej da się zrobić z czytającymi niż słuchającymi”. A działalność polityczna na wsi po dziś dzień jest jeszcze przede wszystkim — wiecowa. Wytwarza nastroje i na nich gra. Metody tu używane zmierzają do utrzymania stałego napięcia w masach. Stany emocjonalne wzmagane są do granic, w których równowaga i jasność umysłu z konieczności muszą ulec zamąceniu. Tak po stronie tych, którzy nie mają racji jak i tych, którzy ją mają.

A czytanie dla naszych pisarzy oznaczało tyle, co spokojne, skupione rozważanie i w następstwie rzetelne uczenie się.

Nie znaczy to jednak, aby mieli być obojętni na przemiany polityczne. Wprost przeciwnie. Tylko rozstrzygające tu jest — na jakim piętze odczytywali oni nurtujące prądy i na jakim się w nie zanurzali.

Otóż będąc w większości samoukami z zawziętością i dumą dopracowywali się punktu widzenia intelektualnie najwyższego. Ks. Stojalowskiego oceniali w jego założeniach, w kapitale umysłowym, dlatego nie uszło ich uwagi, że „był to człowiek uniwersalnej wiedzy w dziedzinach religijnych, politycznych, społecznych i oświatowych, żaden z późniejszych działaczy ludowych, jemu nie dorównał”. O Dąbskim potrafili powiedzieć: „teoretyk pierwszorzędny”, z wszystkich rodzajów działalności pisarskiej Malinowskiego najwyższej cenili w nim „ekonomistę”. Założmy nawet, że się mylili. Ważne jest to, że zwracając w „poli-

tyce” (i to ówczesnego ruchu ludowego) uwagę na „teorię”, „ekonomię” i sprawdzalność obiektywną haseł nazwani muszą być nie działaczami politycznymi a społeczno-kulturowymi. Antoniego Stopę chrzczą tytułem „filozofa”. On o Wyrobku mówi, że ma „talent historyczny”, co nie odbiega zbyt od prawdy, kiedy się wejrzy choćby w drukowane we „Wsi” filologiczne rozważania Wyrobka o słowie „Chłop” lub o dialektach. Oglądamy tu odświeżenie erudycji i historyzmu, tak właściwych tamtych czasom. Dopiero tak bogato uzbrojeni i tego zorientowani wchodzili w szranki bezpośrednich polemik politycznych. Pisze Sobek o Stopie, że ten „walczył silnymi argumentami ze Stapińskim, Dąbskim, Bojką, Średzińskim za ich politykę skierowaną w stronę prawicy narodowej, tj. kapitalizmu i klerykalizmu”.

W WALCE Z „PAWIEMI PIÓRAMI”

Byli więc pisarzami świadomymi swych zadań kulturalnych. I to tak dalece, że dziś jeszcze ci, z nich, którzy pozostali przy życiu, wspominają i chłopom i narodowi zapomnienie i lekceważenie pisarzy, krzywdzące ich w porównaniu z dbałością z jaką tworzy się legendy wokół polityków. I Bojko był „posłem”, ale dlatego chyba, że pisarz, umarł w takiej ciszy „żeśmy nawet nie wiedzieli kiedy”. Podobnie stało się z 40-lat piastującym wójtostwo w Dzikowie Słomka, podobnie z Wójcikiem, Stopą i Jantkiem z Bugaja.

Dlatego tedy w te najdonioślejsze dla ich działalności lata nie powiżali się skości z odmiastowym chłopomańskim ruchem?

Powody są jasne. Ruch ten zachwycał się dawną, prymitywną wsią. Kierowała nim za-

dza estetycznych, przygód. Jak u Kasprowicza, jak u Micińskiego a nawet Wyspiańskiego przewidywał w chorobliwej gonitwie za artystyczną sensacją wszystkie czasy, kraje i kultury. Wieś była dla niego odkryciem jednej z takich arkadyjskich krain.

Warto tu przypomnieć nawarstwianie się tej legendy o wsi, która wreszcie przez ów chłopomański ruch z końca XIX wieku sama w legendę — na swoje nieszczęście — uwiaryła. Oto już w 1842 r. w jednej z przedmów do pieśni ludowych wielkopolskich znalazła się taka skarga szlacheckiego zbieracza: „lud pospolity wszystkie znamiona swoje zaczyna tracić; popchnęły go do tego stosunki ziemiańskie, a mianowicie usamowolnienie włościan”. A Kolberg w r. 1870 żałuje, że chłopcy wyrwani zostali z „dotychczasowego żywota skupionego pod zamkiem lub dworkiem, jakoby piskłeta spod skrzydeł wspólnej macierzy”.

Uwolnienie od pańszczyzny przebudowało oczywiście wieś. Kolberg w tym skutku widział tylko jedno, że „nadał on całemu obrazowi cechy osady pogodnej wprawdzie schludnej i zabiegłej, ale zarazem prozajicznej, pospolitej i wielce oko jednoustajnością swą nużącej”.

Następnych 30 lat przyniosło dalsze zmiany na wsi, znów pełne strat dla estetów, traktujących wieś, jak bezpłatny do wypatrzenia teatr. Dla nich nie to było ważne, że pomiędzy 1880 — a 1900 rokiem, jak wykazały badania pobożnych, przeciętna wzrostu chłopca podniosła się o 1 cm, na skutek polepszenia się jego sytuacji gospodarczej po wyzwoleniu z pańszczyzny, dla nich ważnym było „tragiczne” zanikanie dzikiego krajobrazu i tych tam... bajecznie kolorowych.

Marzenia estetów stały się perfidne. Aby zatrzymać a nawet wrócić sielskość jaką by dał obraz tych chamów pod zamkiem, poszli nawet na hasła w rodzaju: „chłop potęgą jest i basta” byle tylko zechciał on wejść spowrotem w parzenice i pod strzechę, a w skutkach — skrócił się spowrotem, ale czy tylko o... centymetr?

Otóż nasi pisarze na te banialuki nabrać się nie dali. Kiedy estetyzujące miasto chciało ich zamknąć w „zaczarowanym kole” dawności, oni właśnie wyrwali się do miasta nie po to, żeby tam pozostać, ale żeby „ze świata” na wieś przynieść środki i narzędzia poprawy jej bytu.

Oni głosili hasło: „zrównania wsi z miastem”. „A co w miastach widzimy? elektrykę, telefony, wodociągi, łazienki, urządzenia różne i ulepszenia”.

ŚWIATOWI CHŁOPI

Kto szermuje pojęciem „kultura ludowa” warto, aby zdał sobie sprawę z tego, czy używa jej w znaczeniu kultury, którą lud wytwarza, czy też kultury, którą on już wytworzył, a teraz ją w głównej mierze tylko konserwuje.

Bo przy drugim znaczeniu obowiązują go następujące konsekwencje: brak odczuwania nowych potrzeb — trwanie w wyłączeniu się z innych grup społecznych i niski stopień indywidualizacji. Otóż chociażby pojawienie się działaczy politycznych, którzy występują w imieniu ludu w ramach większej grupy społecznej, którzy żądają oświaty dla chłopów i władzy państwowej — już to narusza definicję „kultury ludowej” w znaczeniu: kultury zamkniętej i niezmiennej.

Nasi pisarze wyraźnie zdali sobie sprawę z tego pomieszania i dlatego z dwóch zjawisk: pochodów w pawich piórach i emigracji za ocean — uznali, że znamienne dla ich czasów była emigracja.

Na tle tej fali emigracyjnej, która łączyła pozostałych z tymi, co odjechali, która wracała z powrotem wzbogaconych chłopów i posiadających już wyższą kulturę pracy (przedsiębiorczość, umiejętność zakładania nowych warsztatów) — na tle tej właśnie dopiero fali tłumaczył się dla nich sam w ogóle sens rozniecenia Ruchu Ludowego. Bo wieś tradycyjna, wieś w „kraszkach” nie potrzebowałaby Ruchu, jak go i dotąd nie miała.

Kiedy mój ojciec ze „skół” w góry wróciwszy, którychś tam wakacji, komin w kuchni zamiast paleniska wstawił, a w komorze okno wielkie, dziadek orzekł, że „nie ma ta do niego poco chodzić, bo to pokoje”. I umarł mój dziadek dla „nijkiego ruchu” nieprzystępny.

Bo Ruch — to właśnie — wchodzenie w styczności z innymi środowiskami, to wytwarzanie w sobie nowych potrzeb, to bogacenie się w bardziej sprawne umiejętności i narzędzia.

I dlatego dziś w nas patrzących z perspektywy 40 lat na omawianych pisarzy, wzbiera zdumienie i podziw. To oni właśnie byli w pierwszym rządzie konsekwentnymi Ruchu działaczami. Oglądamy ich w kontaktach z miastem, Europa, ba — z Ameryką. Kucharczyk, Kachna Łęczynianka, Breowicz, Wójcik, Stopa drukują na drugiej nawet półku li. Europe schodził M. Czula, w Ameryce był Wójcik, tam wyemigrował na stałe Breowicz.

Miasto nie budzi w nich ani przerażenia, ani nienawiści. Nie uważali oni jak prof. Bukak, że „urbanizacja oznacza zgrzybiałość społeczeństwa i że nierozsądnym jest, będąc biednym młodzieńcem pragnąć jak najprędzej stać się bogatym starcem”. Stopa mówił ina-

Dalszy ciąg na str. 2-iej.

ANTONI STOPA

Rok 1896

I wy myślicie, że do końca świata
Tak będzie człowiek pożałować człowieka?
Że tak będziecie szczerzyć brata na brata,
Że będzie zwierzem od wieka do wieka?
Że będzie ostrzył na drugich pazury?
Dołem głód będzie — a wyżsi u góry?

I wy myślicie, że już tak na wieki
Wy najpiękniejsze kwiaty macie zrywać?
Drugich uciskać, by potem kaleki
Rzucać do błota, deptać i wysmiewać?
I wy myślicie, że wiecznie niedola
Zalegać będzie i miasta i pola?

I wy myślicie, że człowiek nie Bogu,
Ani swej pracy ma zawdzięczać życie?
I kiedy dla was zdycha na barłogu,
Chlebodawcami jego się mienicie,
I ubliżacie najwyższej powadze,
Bając, że Pan Bóg na was przelał władzę?

I wy myślicie, że milionowych
Rzesz ludzi pracy wy będziecie
panem,
Panem ich życia lub śmierci głodowej?
Że macie rządzić każdym innym stanem?
Że umiejętność, poezja, sztuka,
Dziś ma wam służyć, tak jak wierna suka?

O, panie bracie! trudno upolować
Orla na Tatrach, ale stokroć trudniej
Geniusz ludów pod szlafmycę schować!
Czy wyście ślepi, czy wyście obłudni?
— Stawcież na poprzecz Wisły mocne wały
To wam zaleje z pewnością kraj cały!

„Prawo Ludu”, rocznik 1896, str. 83.

295.360 I

KACHNA ŁĘCZYNIANKA - LESIOWSKA

Z cyklu „Kamienne wiersze“

Kachna Łęczynianka Lesiowska poetka i pisarka ludowa, ur. 1888 r. w Łęcznej koło Lublina, jako córka małego chłopca. Wykształciła się po równi na piosenkach ludowych jak na broszurach socjalistycznych. biorąc udział w konspiracyjnym wówczas ruchu robotniczym. Debiutowała około 1910 r. Już w pierwszych próbach poetyckich daje wyraz uczuciom buntu wobec wszelkiej przemocy. Zasiła swymi utworami wiele pism ludowych, między innymi „Przyjacielu Ludu“, „Krajoznawstwo“, „Rola“, „Strzecha Rodzinna“, „Głos Wsi“, „Prace Obywatelska“, „Wieś i jej pieśń“, „Spółnota“, „Zew“, „Przegląd“, „Polska Prawda“, „Amerykańskie Echo“.

W odrodzonej Polsce wiąże się Kachna Łęczynianka z gronem pisarzy, twórców To warzystwa Pisarzy Ludowych, do którego należała: Wł. Kołodziej, Wł. Bocheński, Ferdynand Kuraś, Jantek z Bugaja, W. Breowicz, Al. Kuśnicki, Fr. Trepiński, M. Luty, D. Lesiowski i wielu innych. W r. 1925 wileński „Lirnik“ wydał jej tomik wierszy. Jej wiersze (cykl: „Kamienne wiersze“) i nowele (jak np. „Złobaczka“, „Cholka“, „Baloniki“, „Katastrofa“, „Grzech“, „Kłamstwo“ i in.) przedstawiają nędzę klas i ludzi upośledzonych, a przede wszystkim chłopów i robotników, upominają i nawołują do walki ze złem i krzywdą społeczną. A jednocześnie ta chłopka - ludowiec, chłopka - socjalistka nie traci nigdy z oczu trzeciej sprawy - Polskinarodu. W latach okupacji ta struna jej po-

ezi brzmiała najsilniej i najczystej. Mimo, że sterana wiekiem i pracą (50 przeszło lat) zakłada już w listopadzie 1939 w Starachowicach konspiracyjne pismo „Pobudka“. Umiera w 1943 r. 25 czerwca na gruźlicę, na parę dni przed... usłownym aresztowaniem jej przez gestapo.

Zet.

Fabryka

Zbudziła się ze snu fabryka,
Najpierwsze zagrały syreny —
Przez ciszę krzyk ostrzy przelika:
Idziemy! Idziemy! Idziemy!!!

Z baraków, z zaułków, z kamienic
Wybiegli już wszyscy gromadnie...
Ich oczy nie mają tajemnic,
Tak patrzą zuchwale i ładnie...

W oddali w słonecznym błękitie
Widnieją już czarne kominy,
Czuwają jak stróż o świcie —
Za chwilę grać będą maszyny.

Przez bramy tłum szybko przebiega
Z okrzykiem, z tupotem i śmiechem —
Hej, przedziej, już siódma dobiega!
Stukają minuty pospiechem.

Zagrały syreny dwa razy,
Zaczyna się wszystko jak codzień —
Fabryka już ogniem się żarzy
I dźwięczy młot ciężkich godzin.

„One wiele dobrego zdziałały“...

Dokończenie ze str. 1-szej.

czej: „Ameryka to kraj samouków i pani świata“!!! Pogarda ziemiaństwa dla reszty społeczeństwa tłumaczy się historią panowania tej klasy, ale czemu się tłumaczyła pogarda chłopów? „Ila miasta? Jaką wyższością, którą trzeba historii, a nie poza historią okazać? Nasi pisarze byli i dla tego jeszcze konsekwentnymi działaczami. Ruchu, że walczymy o równouprawnienie chłopów, że chcemy uznać ich godność warstwy chłopskiej — ale nie sponiewierania godności innych środowisk, a już najmniej — miasta.

Jeszcze to wielkie pytanie, kto tu był lepszym chłopem, czy prof. Bujak, który przestępował przed „bogactwem zgrzybiałości“ głosił powrót do czystej wsi w jakiej „rolnictwo i przemysł domowy stanowią kulturę materialną a religia, pieśń, legenda i zwyczaj odgrywają główną rolę w kulturze duchowej“ — czy też ci pisarze, mniejszej od niego w piórze gestości, ale działający tak, że od artykułów Wyróbka, Stopy, Sobka i Czuby mnożyły się kasy Stefczyka, możliwość wielkiego w przyszłości ruchu kredytowego i handlowego wsi, ale piszący tak, że po artykule Sobka „Sprawa kobiet“ (w kalendarzu „Przyjacielu ludu“ z r. 1909) Bronisław Duleba zabiera się z zakonnikami, Służebniczkami ze Starej Wsi do zainicjowania Kursów dla kobiet.

Z POSTĘPOWYM MIESZCZAŃSTWEM — Z REWOLUCYJNYM ROBOTNIKIM

Do miast wchodzi ci pisarze — jakby byli żywcem wyjętymi z anegdot „chłopcami — roztropkami“. Jest taka anegdota. Dziedzic bawi się chłopem i każe mu podzielić pięć pieczonych kaczek między biesiadujących. Chłop dzieli. Pan i pani i jedna kaczka to — troje, dwaj panice i kaczka — troje, dwie panienki i kaczka — troje, a ja i dwie kaczki — także samo troje. Co zrobi z kaczkami? poniesie do chałupy.

Tak było z naszymi pisarzami — przemysłowcami nad tym, co było do się do miasta zabrac na wieś, do chałupy, żeby było lepiej. I nie raz im się to udaje. Nie gadają bowiem z estetami, którzy prócz zachwyty nad niknącą wsią nicby im więcej nie dali. Gadają z solidnymi, postępowymi mieszczanami, z takim apokryfem Szczepańskim, którego naciągają na Kuratorstwo Fundacji „Domu Ludowego“ w Krakowie, z takim Średniawskim, fabrykantem kapeluszy, który ofiarowuje pod Myślenicami kilkadziesiąt morgów ziemi na ludowy cel.

Toż to są historyczne układy. Toczają się te rokowania w atmosferze wzajemnego zrozumienia i godności. Sobek pisze „Listy włościanina do mieszczanina“ i ofiarowuje je Szczepańskiemu, ten służy w nikłowej kasie apteki i zabiera się do ich wydania. A obok na drugiej ulicy Wyspiański notuje w „Weselu“ modną opinię kulturalnego światka „byle“.

„niech na całym świecie wojna,
była polska wieś zaciszna,
była polska wieś spokojna“.

I ta się utrwała, jako oficjalnie obowiązująca. Jakże tedy mamy tych dzieł prawdziwie chłopieckich i postępowych nie odłożyć? Co za niesłychane dźwignięcie się umysłowe w jednym pokoleniu. Ile rozbudzonej energii życiowej? Czula, który zwędrzował Czechy, Niemcy, Rumunę, pisze o sobie „z wielkiego nędzarza potrafiłem wydrapać się na dość poważne stanowisko“, Kucharczyk

redaktoruje, Breowicz dorabia się wielkiego zakładu krawieckiego w Ameryce, Sobka nowa Polska powołuje na stanowisko starosty. Stopa maluje wiele kościołów, świadomie prawie za darmo, bo go chłopci wbrew księżom powołują i jeszcze dlatego, że... z Waryfiskim Ludwikiem, twórcą ruchu socjalistycznego w Polsce, współpracował. Dopiero w tym obrazie widzi się, że chłopci to nie mierzwa narodu, ale potencjał, w który wolno wierzyć, aby się jeno rozbudził!

Kiedy przyglądamy się tym naszym pisarzom zbiera podziw dla ich zmysłu współczesności. Prawda, działały na nich bodźce rozmaite. Rzecz w tym, że potrafili wybierać nieomylnie, wiążąc się nieraz z czymś, co ledwie się zaczynało. Tak było z ruchem socjalistycznym. Najpierw Stopa mimo, że ścigany przez „kognity austriackie“ jeszcze w wiele lat potem nie raz dawał swe artykuły do podcyfrowania Ignacemu Daszyńskiemu. A Kachna Łęczynianka, która całe swe wykształcenie zawdzięcza pieśniom ludowym i broszurkom socjalistycznym? Nie był im obcy robotnik. Właśnie wychodził dopiero ze wsi. Żywość kontaktu zagłuszała miłość, zachowywała poczucie jednakiej doli, wspólnej walki i pomocy.

I u Kachny Łęczynianki zestrzają się te dwie konwencje literackie — robotnicza i ludowa. „Hej, ziemio ty moja rodzona“ — „skibę czarne znojem zroszone potem“, — to wieś ukochana sercem Kōnopnickiej, tym samym, które było miłością i dla „naszej szkapki“ z Powiśla i dla „dymu“ wijącego się nad synem w fabryce. Dlatego u Kachny gra i ta druga struna z entuzjazmem z wiarą w ważność dzieła robotnika. Na dzieło jego rak, na cuda cywilizacji Kachna wygląda w imieniu wsi, więc pisze „Za chwilę grać będą maszyny“... „Hej, przedziej już siódma dobiega!“! Aż jej się wszystko wreszcie łączy w jedną narodową całość:

„Ty od pluga, młota, od czarnej maszyny...
Ty milczący, pokorny i Ty zbuntowany —
Niech ręce się połączą w stalowe ogniwa
które już żadna siła nie pozrywa.
A serca niechaj wysoka idea zjednoczy
która tęczy stąbarwną opasze kołem
I nad życiem wypisze jedno hasło „Społem“!“

Omawianym tu przez nas pisarzom wypadło działać równo z trzecią falą stylizowania wsi na folklor i dawnosć. Pierwszą był okres romantycznego kultu ludowości, drugą — kolbergowskiego zbierania pamiątek, trzecią — „młodopolskiego“ albosmy to jacy tacy. W wolnej Polsce przestonila ich znów fala mistycyzmu słowiańskiego Niecki. Ale czas, żeby trzeźwych pisarzy — pozytywistów przypomnieć wsi dziś, kiedy ona ma dla narodu przestać być tylko pełną możliwości, odkładaną dotąd i przez siebie samą — rezerwą.

A właśnie dla tych naszych dziadków największymi wrogami byli ci „którzy nie nie robią, bo wolą spokój i ciszę domową, stroniąc od wszystkiego co zmierza do postępu, do ulepszenia z daleka“.

Panie Józefie, doktorze Szytkowski, Pan wie najlepiej co o pisaninach naszych dziadków mówiono „w onczas“, przed wielu laty: „one wiele dobrego zrobiły“... czeka Pana nowa Antologia, myślę, że bardzo warta zachodu, bo podobnie, jak pamiętnik Szarka, mówić będzie o tym co chłop potrafi zrobić. czego to on nie osiągnie!

Jan Aleksander Król

Żniwiarze

Pochyleni od rana, ukryci w zboża złoć,
Niby zórawie suniemy przed siebie,
Z ciał naszych rozgrzanych, płyną krople potu
I jak ziarna pszeniczne sięją się po glebie.

W fali zbóż szumiących topimy swe dłonie,
A w oczach niby pożar czerwienią się płomieni,
Zginamy ciężkie kłosa — w błysk sierpów
Sami zgębi, suniemy w przyziemnym poklonie.

I raz wraz kłosa przed nami padają...
I chlast, chlast! — garść po garści żniemy,
Za nami tylko ściernie ostre pozostają,
Na których nogi bosa do krwi pokłoniemy.

Słoneczne minuty biją mocno w skronie,
Tarcza złotego zegara stanęła nad nami.
Południowa godzina wyciągnęła dłonie
I objęła nasz cień, idący przed nami.

Stanęliśmy zmęczeni w rozpalonym słońcu,
A z nami przystanął i nasz cień zmęczony...
A z daleka przed nami złocą się zagony,
Przez które przejść musimy w poklonie do końca.

Polsko

Smutna jesteś Polsko, jak ten krzyż graniczny,
Co na rozstajnych drogach wyciąga ramiona —
Rozpięto Cię znowu na drzewie tragicznym
I uwieczniono cierniową koroną...

Chorągwie wolności nie szumią nad Tobą,
Stoisz, jak anioł smutku, okryta żałobą
Pograżona w niewoli, jak w bezgwiezdnej
nocy —
Oddana własnej zdradzie — i obcej przemocy.

„Zwarta, silna, gotowa“ — czekałaś wierząca
Aż nastąpi nad Tobą nagły zachód słońca...
Wypęzła zdrada i zawiodło męstwo —
I na karcie historii przegrano zwycięstwo,
Słowo wolność skreślono z dziejów swojej

Lecz Ty Polsko dotrzymasz wiekowej
przysięgi...
Bo czas, który wyrokiem na śmierć skazał
Ciebie,
Rozkazał Ci żyć... choć stoisz na własnym
pogrzebie.

Hitlerowska zbrodnia

Świat podpaliła hitlerowska zbrodnia —
Dymią słupy graniczne,
Europa pełna ognia!
Skarzy się polska ziemia
Smutkiem świeżych grobów
I gniewem i zemstą Narodu!
Żywi i umarli piszą wyrok zgodnie
Przekleństwem modlą się
Ruiny kościołów —
I trupy męczenników rzucone do dołów...
Przekleństwem modlą się nocą umarli —
I modlą się żywi co dnia,
Aż pomszczona zostanie
Hitlerowska zbrodnia...
Aż Berlin zamieni się w cmentarz,
A Niemcy w słup ognia.

Starachowice 1939 r. listopad.

Z prac okresu prasy podziemnej.

Antoni Stopa

(patrz wiersz „Rok 1896“ na str. 1-ej)

Antoni Stopa (1850—1924), malarz, pisarz chłopiecki i poeta, pochodził z małej rodzinie góralskiej, osiadłej pod Makowem Podhalańskim. Zapowiadającemu duży talent malarzski, uczniowi Matejki, przeszkodziła w kontynuowaniu studiów śmierć ks. Stopy, wujka pisarza, jedynego protektora. Przywiązany do końca życia do mizernego gospodarstwa swojej siostry oddaje się natężeniu pracy pisarskiej, bądź malarzkiej. A malował dużo i przeważnie na zamówienia chłopów. Odmalował przeszło 30 kościołów, malował także obrazy treści religijnej, różne pejzaże, kraje i portrety. Znaną jest chłopom — i państwu — bardzo obraz Stopy, przedstawiający Polskę w postaci niewiasty, wręczającej sztandar narodowy chłopu. Z przekonania politycznych był zawsze postępowym ludowcem. Drukował wiele, przeważnie pod różnymi pseudonimami, często przeciwstawiając się ostro ugodowym poglądom pism, które użyczały mu gościny pisarskiej. Prace jego, artykuły, listy, wiersze znaleźć można we

„Masław“ Zawieyskiego

między legendą a rzeczywistością

Ostatnie przedstawienie „Masława“ Zawieyskiego w Starym Teatrze w Krakowie przynosi nam w dość odległej dziedzinie — początków państwa polskiego, do wieku XI. Jesteśmy świadkami ścierania się różnych prądów ideowych i dążeń społeczno-politycznych. To okres, gdy po śmierci Mieszka II w Polsce wybucha reakcja pogańska, która nie była jedynie chęcią nawrócenia do dawnych bogów, ale przede wszystkim gestem samoobrony przed przedstawicielami wpływów bliskiego zachodu tj. cesarstwa niemieckiego. Cesarz niemiecki napierał wszelkimi sposobami, by rozszerzyć swe panowanie na wschód od Odry. Marchie pograniczne stanowiły bastiony przyszłych krzyżaków i... hitlerowców.

Autor ukazuje rebelię księcia Mazowieckiego, Masława, stojącego na czele oddziałów kmieci, walczących w imię pogańskiego Łady nie tyle o dawne „stare“ formy kultu, ile o zagrożone prawa do współudziału w rządach. Mogą się komuś niektóre jego wypowiedzi wydawać dziwne współczesne i jakby wyjęte z aktualnych haseł. Zapewne mało mamy źródeł historycznych z tej epoki i łatwo o dowolności w ujmowaniu zagadnień. Ale nie zapominajmy, że wówczas jeszcze Polska nie była synonimem Rzeczypospolitej szlacheckiej, która osiągnęła swoje apogeum w XVI w., a nawet w tym wieku, jak stwierdzają badacze, chłop używał więcej omasty do jedla niż w nowszych czasach, Polska nie miała tradycji długoletnich feudalnych i pojęcie kastowości było jej obce.

Mógł więc Masław przeciwstawić się zamiarom wielmożów, usiłujących umocnić swe wpływy bez oglądania się na stan kmieci. Nie przeciw spadkobiercy korony Chrobrego Kazimierzowi walczył woję Masław. Autor ukazuje tu kilka starć: najpierw Mieszka II z wielmożami, Kazimierza z cesarzem, Masława z Kazimierzem, wreszcie władzy świeckiej z przedstawicielami kościoła, Kazimierz nie chce być marionetką w rękach cesarza, ale z Masławem nie dojdzie do porozumienia, mimo obustronnych dobrych chęci. Masław zginie w bitwie, jak przystało na... niezłomnego księcia. Ale jego idea: silnej zespólonej Słowiańszczyzny, odpornej na zakusy germańskiego imperium i państwa, opartego na sile, zawartej w ludzie — żyć będzie i odradzać się w dobie przełomów, aż stanie się rzeczywistością.

Taki jest końcowy akord sztuki. Już z tego omówienia widzimy, jak obfity ładunek myślowy zamknął autor w „Masławie“. Związczą w początkowych odsłonach czujemy przerosł historyzoficzny dociekan. Później wydarzenia stają się kanwą dzieła przychodzą, żywiej do głosu, jakkolwiek np. autor zajęty wielkimi liniami ideowymi, pozostawia na boku sprawę Olany... Tu i ówdzie nasuwają się pewne reminiscencje literackie. Jeśli wspomnę o tym, to nie po to, by oburzać się na wpływy, lecz by ukazać wysoki gatunek ambicji autorskich. A więc Chrobrego Mieszka II i jego prowokacyjne zachowanie się wobec wielmożów przypominają podobną scenę w „Kalliguli“ Rostworowskiego. A przybycie Masława do zamku Kazimierza i ich rozprawa, czyż to nie aluzja do pojedynku Pankracego z hrabią Henrykiem w „Nieboskiej komedii“?

Tę wieloosobową sztukę zrealizował Janusz Warnecki, mając do pomocy nie byle kogo, bo Andrzeja Pronaszkę, jako dekoratora i Romana Palestę, który opracował wstawki muzyczne, no i zespół Starożytności, znane i mniej znane nazwiska aktorskie. Widowisko miało zatym siempeł wydarzenia artystycznego.

I było wydarzeniem na miarę nieprzeciętną. Współpraca Pronaszki wniosła rozmach i niezaprzeczoną siłę wizjonerską, zarówno w dekoracjach, jak i w kostiumach. Pronaszko upodobał sobie w słoczonych bryłach, dających wrażenie ciasnoty. Dopiero w końcowej odsłonie (z majaczącym w głębi ogromnym profilem chłopca) pozwolił sobie na „szeroki oddech“.

wszystkich pismach ludowych: „Włóscianinie“, „Przyjacielu Ludu“, „Gazecie Ludowej“, „Obronie ludu“, „Piaście“, madro „Kurjerze Lwowski“, „Krytyce“ i innych.

Obok motywów ukochania narodu, występuje u Stopy motyw walki z tym wszystkim, co jest nacechowane ustepnością wobec kapitalizmu i klerykalizmu. Do końca życia pozostał wierny ideałowi demokracji, dla której służbę rozpoczął jeszcze w młodości. W młodości, biorąc żywy udział w pracach konspiracyjno-socjalistycznych, Ludwika Waryfiskiego. Antoni Stopa — jest nie tylko twórcą: malarzem i poetą — jest także wzorem działacza chłopieckiego, czystego, jak krystal, którego nie zlamaly ani prześladowania rządów austriackich, ani klęski osobiste.

Przytoczony na str. 1-ej wiersz Stopy, wydrukowany po raz pierwszy w „Prawie ludu“ w 1896 r. był podpisany pseudonimem „Antoni Sygon“, chłop spod Babeli Góry.

Piotr Wyróbek

Jak Józek Wołoscyk ugwarzował z Pane Jezuse

(Dokończenie ze str. 6-tej)

— To pewnikiem do tobie gwarzył?
— Ści, a na tobie nie poziroł?
A i chodoki kleni k sobie, ze teraz to nie bee sie im dało ku dziopom ślebotnie podchodzić. Syćka zle byli, chocia ciesyli sie, ze wręście miał fto jegomościowi wyrpać.
— Starzy, co wse przy karcmie po kościele musieli odstać, tys wracajonc na usiak mieli całe zdarzynię.
— Wręście mu jeden przepedziol.
Cos on telo gwarzył o cudzym a nase dziewki niby to uświenio.
— Napil byk sie i Józkiem ze telo śmiałości miod.
— Ale by go i tak tera zabili, kieby ku kościolowi przysel.
— Przecie jegomość kłatwe rzucił.
— No niby tak.
Przeżegnoł sie Józek jesce roz, posiedziol jesce kwilusie i jak już syćka przešli mimo kaplicki, wcisnął kapelus na usy, przepedziol jesce cichuśko ku Panu Jezusowi.
— Ostańże z Boge, a zrób cok Ci podziol, bo inacy to Cie siela wyrzucem, kościół Ci społem a ksiendza zarombiem.
I ruszył ku graniom. Hań cuł jeno sprawiedliwość. Hań beta jego ślebotda. Seł uzalić sie juz nie ludziom ani Panu Bogu jino drzewom, skałom i potokom.
Po drodze jeno bakoł bez zemby.
— Ka jes wej Bosko Mielość i ka ludzko sprawiedliwość?

E. MARZEC

Strony świata

Kołujecie, myśli rozleciała,
pokoleń ludzkich zaorane bruzdy!
...konie strudzone potem zapachniały,
poprawiając wędzidłami uzdy.

Ubrany w niebo, ryje globus zaprzęg.
Lasy i czasy chwiją się, a trwają.
Szukam stron świata. Niepotrzebnie patrzę,
skorom się orać myślom moim najął.

Zatrzymajcie się, wrony, nim przyjdzie mil-
czenie.
Zostańcie nieco dłużej zalekłe zające
...ale odeszły i pustka znów drzemie:
parskają konie, motyl dźwiga tęczę.

Głodni bogowie wydrążyli studnie,
a anioł z kielnią w chmurach ugrzązł.
Do drogi idąc: mam południe.
Wierzbowa łąka: tam jest północ.

Dyskusja: kto jest chłopem?

„Z ziemią związany...”

Po głosach ludzi starszych w dyskusji — Dopokąd chłopem? — dajemy dziś w numerze wypowiedź przedstawiciela pokolenia najmłodszego. W liście, który później zacytujemy, dyskutant nasz ujawnia, że jest inteligentem, nie ujawnia natomiast, czy pochodzi ze wsi.

Głos jego jest żarliwy, ale nie zawsze słuszny. Ob. Leszczyńskiego urzeka „chłopa absolutnego”, którego nie jest w stanie zmienić i największe przeobrażenie świata. Człowiek — chłop w ramach przyrody, z nią w walce i współdziałaniu jest tylko dla niego chłopem.

Stanowisko to tradycyjne każe oczywiście zwalczać Leszczyńskiemu wszystkie odmiany chłopów: nie rolnika, nie gospodarza. Czini to z pasją, ale błędzi.

Bardziej znaczącym dla autora tego artykułu jest jego list namiętny, liryczny, świadczący o silnym życiu wewnętrznym i chęci kształcenia się, chęci pracy w swoim przysłym zawodzie, w literaturze.

Przypomniało mi się tu wielu bohaterów powieści, ludzi utalentowanych, których łamało życie kołtuńskie i bezwzględne prowincji, przypomniała mi się i nieleka młodość wielu wybitnych naszych literatów chłopskich. Posłuchajcie tych słów szarpających...

„Chodziłoby mi o nawiązanie pełnego kontaktu z ludźmi, dla których zainteresowania

LUDWIK BROŻEK

CZEGO CHCĄ CZESCI?

„Slezky odboj” z przewodcą Vochalą, godnym zastępcą Bezruca, nawołuje:

„Czeski Śląsk, złożony z ziemi cieszyńskiej, opawskiej, hulczyskiej, trzech politycznych okręgów szerszego Ostrawskiego, Kładzka i północnych Podkarkonoszy ma dla naszego planu tworzyć jedną ziemię, którąby sąsiadowała z Łużycami, Czechami, Morawą i Słowacją...”

„Czeski Śląsk (po co to „czeski”?!) musi być ziemią w każdym względzie samowystarczalną, o własnej autonomii a czechosłowackiej orientacji, od Czechosłowacji nieodłączną a czeskimi ideami, oświatą i duchem trwale nasyconą...”

„Zadamy rychłego przesunięcia granicy między Olzą i Wisłą, przede wszystkim za szkody, wyrządzone nam przez rząd polski w czasie monarchistycznej umowy, kiedy nam Polska przemocą zajęła część nadolziańskiego Śląska (od Bogumina przez Cieszyn po Jabłonków), którego się nikt i nigdy nie zrzeknie”.

Oto parę cytatów z Vochalowej broszury: „Pro nové České Slezko”. Wywody te akceptuje poza chmurą nadskakujących politycznych „wrzasczków” sam wicemin. Fierlinger, prez. Benesz, „narodowy” poeta Bezruč i wielu innych.

Ale trzymajmy się i my zasady, że prawda zwycięży. Nie będziemy sięgać jednak według historycznych danych (ulubiony konik czeskich polemistów) po Pragę, zawojowaną przed niespełna tysiącleciem przez Bolesława Chrobrego.

Swoje prawa do Śląska opiera Vochala i na podstawie kulturalnego wkładu Ślązaków do ogólnoczeskiej kultury. Niestety wśród wielu nazwisk wymienia tylko jedno śląskie: Trzaskowski. A więc nie tylko Niemcy ukradli nam Kopernika! Czesi zrobili to samo z Trzaskowskim. (Sprawy tej wyświeślać nie pora. Niech sobie p. Vochala przeczyta wyczerpującą monografię słowacką o narodowości Trzaskowskiego). Niedługo może Włosi przywłaszczą sobie naszego historyka Długosza czy poetę Janickiego bo, pisali po łacinie.

Z JEDNEJ WSI NADOLZIAŃSKIEJ...

Z jednej wsi nadolziańskiej. Końskiej przy Trzaskowie, podam parę nazwisk na przestrzeni 50—70 lat, aby przekonać czytelników, jak głęboko tkwi tutaj lud „czeski” (albo „morawski” jak chce telo Vochala) korzeniami swymi i ile zyskała na tym czeska kultura.

Najwięcej rekrutowało się z Końskiej nauczycieli i księży, nadto paru wyższych dygnitarzy w służbie państwowej. I tak: Paweł Kajzar (1809—1865), syn miejscowego nauczyciela był prof. języka polskiego w gimnazjum cieszyńskim; on też zaczął wydawać w języku polskim „Nowiny dla ludu wiejskiego” (1848) o frankfurckim nachyleniu oraz wydał części agresywnej „Historii kościelnej wiary ewangel. w księstwie Cieszyńskim”.

Synem nauczyciela Końszczańskiego był też Jan Liberda, kierownik szkoły w Golezowie; wspomina go dr Andrzej Ciniata jako jednego

literackiego, „organizmowania życia kulturalnego wsi i w ogóle sprawy związane z literaturą i kulturą grają rolę w życiu. Jestem w tego rodzaju położeniu, że pod tym względem muszę wystąpić sam sobie. Ta samotność w wyżej wymienionych zainteresowaniach — cokolwiek mi już ciąży. Ten zupełny brak styczności z ludźmi o jakichś ambicjach kulturalnych sprawia, że zaczynam ich powoli uważać za jakieś twory fantazji. Ponieważ z wielu względów nie mogłem podjąć studiów na uniwersytecie krakowskim, przeto jako człowiek o zainteresowaniach literackich i pewnej energii umysłowej, skazany jestem na żywot suchotniczy”.

Ob. Leszczyński, ślemy Wam pozdrowienie. Prosimy napisać ściślej z jakich okolic pochodzicie i co piszecie? Jeśli Wasze prace są na pewnym poziomie, wciągnęlibyśmy Was na kandydata do Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Autorka artykułu dyskusyjnego „Dopokąd chłopem?” M. Borchanowska określa jako chłopów człowieka mieszkającego na wsi, posiadającego gospodarstwo, uprawiającego ziemię, mogącego używać stroju ludowego, mówiącego gwara i, co u autorki zasługuje na specjalne podkreślenie, odpowiednio ciemnego. Nie posiadanie gospodarstwa, uprawa roli własnymi rękami, ziemia jako podstawa bytu materialnego, jako jedyna źródło docho-

z pierwszych uświadomionych Polaków na Śląsku.

Najwięcej jednak rozgłosu i sławy zyskała sobie Końska dzięki swemu patriarchalnemu poecie — Janowi Kubiszowi, autorowi hymnu śląskiego: „Płyniesz Olzo”, mieszczącemu się w zbiorze wierszy epicko-lirycznych „Z niwy śląskiej”. Napisał też pod koniec życia cenny, o walorach dokumentu historycznego „Pamiętnik starego nauczyciela”. Duchowymi jego dziełami są: dr Jan Kubisz, dyrektor śląskiego szpitala krajowego w Cieszynie, ks. Karol Bronisław Kubisz, pastor od r. 1932, pracujący kolejno w Krakowie, Katowicach i Lwowie (do dziś), oraz trzeci Andrzej, redaktor jedynej polskiej gazety na Zaolziu.

Jeśli mowa o Kubiszach, to końszczaninem jest obecny regionalista a laureat nagrody literackiej, Paweł Kubisz, autor bojowego „Przednówka”, będącego na indeksie czeskim.

Jeszcze dwie rodziny są rozpowszechnione w Końskiej: Buzków i Wojnarów.

Buzkowie, którzy przyszli do Końskiej z sąsiednich Nieborów w r. 1802, mają w swym rodzie ks. Jerzego Buzka (1723—1763), początkowo nauczyciela w domu majora Chrzastowskiego w Polsce. Po pierwszym kazaniu polskim w Tarnowskich Górach zostaje ordynowany i przyjmuje posadę w Szyrwalcie (Dolny Śląsk). Z tej linii pochodzi też obecny ks. Andrzej Buzek, były polski pastor we Frydku nad Ostrawicą; długoletni ks. profesor i kapelan wojskowy w Cieszynie. — Bratem jego był dr Józef Buzek (1874 — 1936), który imię polskie rozstawił daleko i szeroko poza jej granicami dzięki gruntownej i wszechstronnej wiedzy. Był długoletnim prof. uniw. lwowskiego (do r. 1918), równocześnie posługując do parlamentu austriackiego, potem do sejmiku polskiego jako współtwórca Konstytucji; jako dyrektor Głównego Urzędu Statystycznego posłował do senatu i był wiceministrem. Wielki rozgłos zjednała mu książka „Historia polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków”. — Brat jego, inż. Jerzy Buzek był dyrektorem huty „Węgierska Górka”; za pracę naukową w zakresie odlewniczym został mianowany prof. akademii hutniczej w Krakowie i odznaczony krzyżem Polonia Restituta. — Ostatni z braci, Karol Buzek, wybitny działacz Tow. Rolniczego na Śląsku, pozostał na ojczyźnie, przetrwał wojnę i okupacyjne rządy, a za piastowaną pod koniec godność wójtownia, przypłacił drogą. Ale trwa.

O braciach Wojnarach z Podlesia (część Końskiej) istną robinsonadę dałoby się napisać. Było ich siedmiu, synów tkacza. Najstarszy Jan Wojnar, marynarz a później maszynista na kole austriackiej, zawędrował do Turcji i tam się ożenił. Ponieważ nie przeszedł na wiarę maho-metańską, zwolniono go z długoletniej posady. Nie zaparł się dla jej uzyskania ani wiary swego ojca, ani narodowości. Do końca życia (umarł w r. 1935) nie zerwał łączności ze swą ziemią ojczystą, pisał często do miejscowej prasy „Listy ewangeliczne z Turcji”. — W tym samym roku zmarł Adam Wojnar, kapitan wojsk polskich w Krakowie. Najmłodszy Karol był ekonomem w Sławonii; padł na froncie w czasie wojny światowej. Pozostał przy życiu

tylko Andrzej, inżynier w Opawie, ale i tego zapewne obecna wojna zmioła. — Na tym przykładzie widzimy, jak bracia jednej rodziny rozpraszali się po Europie, ale nie zaparli się ani wiary, ani języka swego. Kapitanowi Adamowi ofiarowywano dobre stanowisko w armii czeskiej, a jednak wstąpił do wojska polskiego. Zmarły w Bóguminie Józef Wojnar krótko przed śmiercią wręczył znaczną kwotę ks. Badurze z prośbą, aby utrzymała się polskie nabożeństwa w tym granicznym zborze. Piękny zaiste przykład!

Ale nie tylko bracia Wojnarowie zaskarbili sobie przyjaźń i szacunek wśród obcych. Przykładów takich mamy jeszcze wiele. Oto łutnik trzyniecki Paweł Koziołek wyjeżdża w r. 1899 do Ameryki, tam kończy studia teologiczne i zostaje pastorem wśród tamtejszych emigrantów-Polaków w Cleveland i Detroit. Przychodzi im z wydatną pomocą przez „Zbiór pieśni nabożnych”, który to kanonął przygotował i wydał przy pomocy rodaka, ks. Focha z Kojkowic.

Inny końszczanin, Wyrdacz był sztabowym lekarzem w rmi austriackiej. Syn jego Gustaw dobił się teki ministra wojny w Albanii w 1937 r. Odtąd ślad o nim zaginął.

Brak też jakichkolwiek wiadomości o Józefie Turoni, który jako samouk zdał egzamin uniwersytecki w Kijowie po r. 1930 i wykładał na tamtejszym instytucie naukowym.

„POLAK NA OBCYZYNIE PASIE TYLKO SWINIE”...???

Tych kilkanaście nazwisk świadczy wymownie o rodzimej inteligencji naszej, z ludu wyszej, jak ona zdobywa sobie poczesne stanowisko wśród społeczeństwa polskiego i nie zapiera się języka czy narodowości w szerszym świecie. Niech strona przeciwna butnie wykrzykuje o swoich prawach historycznych, gospodarczych czy kulturalnych. Jakież jej owoce na naszym terenie? Czy jest tu chociażby jeden rodzimy Czech, co mógł stanąć bez rumienia obok któregoś z wymienionych? I to nie tylko Końska, ale każda wieś na Zaolziu jest taką twierdzą polskości. Każda wieś, czy to Olbrachcice albo Stonawa, czy Bystrzyca albo Piossek, czy Dałynia albo Żywocice, każda z nich ma swoich mężów chorągwiowych, z których przekonani chlubić się zawsze może. Nasi bracia Czesi zdają się tego nie widzieć. Bo jakże tłumaczyć sobie oświadczenie Bezruca, który z niegodną zjadliwością napada Polaków w swych wach: „Každy narodowiec musi uznać, że Polak jest marnotrawnym a straconym synem słowiańskiej rodziny, który na obczyźnie pasie tylko swinie i żywi się z nimi z tego samego koryta. Taki Polak nie wróci do swoich, póki go obcy zupełnie („na capan”) nie zniszczą”. Ale... prawda zwycięży!

„Za nami zostały jęk, kłatwa i cma
I wiosny uroda — gołe skiby w mgłach
Przed nami kulhakoł los skąpy i chłód.
Miażdżący cep czasu, depczący nas ból
— Polska przyjdzie — musi być!
Idzie z sinej dalekości.
— Prowde mówi, no dyc, dyc —
Chodnik w wolność się już prości...”
(z „Przednówka” Pawła Kubisza)

A gdyby nawet ze wsią utrzymywali żywe kontakty, gdyby życie wiejskie i człowiek wiejski byli dla nich przedmiotem szczerzej troski i opieki — to czy to ma właśnie świadczyć o „chłopskości” tego miejskiego inteligenta związanego przede wszystkim z fabryką, hutą czy praktyką lekarską.

Przypuśćmy jednak, że w wyposażonej we wszystkie osiągnięcia kultury technicznej wsi przyszłość, mieszkańcami będą inżynierowie, lekarze, technicy, kierownicy kursów, świetlic, spółdzielni. Pomijawszy już to, że wieś zmieni całkowicie swój charakter, swoje oblicze zewnętrzne — to coż znów ci nieszczęśliwi inżynierowie, lekarze, technicy a wieś ludzka z wyższym wykształceniem, ludzie których życie i zainteresowania związane są z dobrym funkcjonowaniem maszyn lub ze złym funkcjonowaniem organizmu ludzkiego będą mieli wspólnego z prawdziwym, istotnym życiem wsi czyli pracą wiejską? Czy będzie kształtowała psychikę tego inżyniera, lekarza, technika — praca na roli? Orka, siew, żniwa? Czy troska o pogodę a niepokój sloty spędzą mu sen z powiek?

Inżynier będzie inżynierem — dla inżyniera pepektem świata będzie maszyna, dla lekarza też jego zawód. Dla nich troska o to by zboże nie wymarzło lub je grad nie wybił, nie będzie nigdy głębokim, poważnym, jak dla właściciela tej ziemi, siewcy tego zboża — chłopca. Reasumując więc, chłop to ten, który orze, sieje, zbiera i dla którego nieurodzaj jest katastrofą życiową. W związku zaś z tą pracą i życiem na łonie natury i w związku z zależnością od niej pewien właściwy mu odrębny typ psychiki i postawy wobec życia, określa jego chłopskość.

LESZCZYŃSKI WŁADYSŁAW
Tywiec, Stacja Kolejowa

STANISŁAW EHRLICH

K O K — S A G I Z

Fantastyczna historia pewnej rośliny

AUTOR USPRAWIEDLIWIA WYBÓR
TEMATU

Kiedy państwo radzieckie stanęło mocno na nogach, nowy przemysł pchnięty na tory planowej gospodarki począł rozwijać się pełną parą. Jednym z następstw tego skoku produkcyjnego był zwiększony popyt na kauczuk. Kauczuku domagał się przemysł chemiczny, elektryczny, samochodowy i lotniczy. Im bardziej nowoczesną była fabryka, tym więcej domagała się kauczuku. Dzięki swoim szczególnym właściwościom guma była absolutnie niezaprzeczalną.

W Rosji nie rosły ani drzewa kauczukowe, ani nie było fabryk syntetycznego kauczuku. Kauczuk trzeba było sprowadzać z zagranicy i jego cena rosła stale.

Rząd radziecki rozpiął konkurs wszechzwiązkowy na najlepsze metody produkcji kauczuku syntetycznego.

Zwycięzcą konkursu został profesor Lebediew, którego metoda uzyskiwania kauczuku ze spirytusu okazała się niezwykle skuteczną.

Ale na tym nie poprzestano, poszukiwania bardziej zadawalającego rozwiązania zagadnienia trwały nadal. Karfole — surowiec, jakiego użył Lebediew, były zbyt kosztowne. Kiedy badania nad użyciem wapna jako surowca dały pomyślne wyniki — Związek Radziecki stał się jednym z największych producentów kauczuku syntetycznego.

Zagadnienie kauczuku jednak nie było jeszcze i wtedy rozwiązane. Bo kauczuk syntetyczny jest kilkakrotnie droższy, niż naturalny. Wreszcie znalazło się wyjście. Zupełnie nieoczekiwanie odkryto zwykłe zielsko, które mogło zastąpić egzotyczne drzewo kauczukowe.

Kiedy pokazałem korzeń kok-sagizu memu przyjacielowi, ten wziął go do ręki z niedowierzaniem, powąchał, skrzywił się nieznacznie i powiedział:

— I co w tym dziwnego? Czuć zlekką starym kaloszem. Nie rozumiem, czym się tu przejmować.

Wielu ludzi zajmuje taką postawę wobec niezwykłych zjawisk. Takim zjawiskiem jest właśnie kok-sagiz — roślina ładująca podobna do polskiego dmucho-wca (mniszka) i blisko z nim skuzynowana.

W ostatnim dziesięcioleciu losy tego zielska spłotyły się mocno z losami milionów radzieckich obywateli. Odegrało ono swoją rolę niemal w tej straszliwej wojnie.

Jakże więc przejść obojętnie mimo opowieści, którą pisało nam życie?

W latach trzydziestych, kiedy zagadnienie ekonomicznej niezależności stanęło na porządku dziennym, zapewnienie Związkowi Radzieckiemu własnego kauczuku naturalnego stało się sprawą życiowej wagi.

Wtedy to około 14 lat temu, w stepach Kazachstanu i w poloninach Kirgizji i wszędzie, gdzie była tylko nadzieja znalezienia roślin kauczukowych, pojawili się owi zajadli „łowcy kauczuku”, którzy przeszerpali każdy „podejrzany” splachęć ziemi. Zbadano w tych latach przeszło tysiąc rodzajów roślin.

Kauczuk stał się szlachetną manią wielu. Na poszukiwania wybierali się przeważnie amatorzy. W nauce panował niemal wszechwładny dogmat, że rośliny z wysoką zawartością kauczuku, jak naprzykład hovea (drzewa płaczące), rosną wyłącznie w okolicach podzwrotnikowych. Sądono, że w warunkach naturalnych Związku Radzieckiego wszelkie próby znalezienia takiej rośliny, czy aklimatyzacji tej, skazane są z góry na niepowodzenie.

* Ujawnił to w pełni przebieg wypadków wojennych. Sojusznicy anglo-amerykańscy utrącaли plantacje półwyspu i archipelagu malajskiego, w ich bezpośrednim władaniu zostały tylko ceflońskie. Ale maksymalna produkcja kauczuku Ceflonu wynosi 100.000 ton rocznie. Jest to nawet z produkcją południowo-amerykańską i afrykańską zbyt mało, by mogło pokryć potrzeby sojuszników nawet bez Zw. Radzieckiego.

A jednak słuszność była po stronie dyktantów i fantastów. Jeszcze w 1929 r. pomocnik naczelnika stacji w Kara Czikat w Kazachstanie i azerbejdżański felczer Karys, znaleźli chondrillę. W tym samym roku pracownik trustu gumowego, Zarecki, znalazł w górach Kara-Tau roślinę tau-sagiz (górskie ziele do żucia).

Wylom był zrobiony. Chodziło teraz już tylko o odnalezienie rośliny, która by miała dość wysoki odsetek kauczuku, odpowiadający warunkom produkcji przemysłowej.

LOWCY KAUCZUKU

W lipcu 1931 r. sześciu młodych ludzi zajęło przedział w pociągu bezpośrednim Moskwa — Frunze. Ich wysportowane sylwetki i pakowne plecaki mogły nasunąć przypuszczenie, że ma się do czynienia z turystami. Z dokumentów jednak, w jakie byli zaopatrzeni, wynikało co innego. Była to ekspedycja naukowa do centralnego Tian — Szaniu. Byli to poszukiwacze kauczuku.

Buchaniewicz, szef ekspedycji, miał dwa dzieciata dwa lata, z zawodu był robotnikiem fabryki aniliny w Moskwie.

Wysiadłszy z pociągu we Frunze Buchaniewicz powołał swoich towarzyszy ponad malowniczym, obramowanym gęstą nieprzebytą lasów jeziorem Issyk-Kul w bezdroża Tian — Szaniu.

Poszukiwacze kauczuku nie żalowali energii. Wspinali się po stromych stokach, by znów się opuścić na dno głębokich jarów. W czasie wędrówki nie przepuszczali żadnej trawki. Zielnik ekspedycji puchł do niebyszych rozmiarów. Ozdobą i dumą jego było kilka roślin kauczukowych. Ale prawdę mówiąc wyniki ekspedycji były mizerne. Zawartość kauczuku w znalezionych roślinach była niewielka. Urlop dobiegał końca i honor ekspedycji uratował bystry wzrok Buchaniewicza i... szczęśliwy przypadek. Buchaniewicz zauważył, że wszystkie rośliny, które zwykli żuć miejscowi mieszkańcy, zawierają kauczuk. Taka domorośla guma do żucia. W wioskach, gdzie się zatrzymywali na nocleg, dzieci zapamiętały żuły jakieś ziele. To wydało się podejrzanym. Próba „na kauczuk” dała dobry rezultat. Nieznane ziele zawierało większy odsetek kauczuku, niż wszystkie inne dotąd znalezione.

— Jak się nazywa ta roślina? — spytał pośpiesznie Buchaniewicz.

— Ona nie ma nazwy — brzmiała obojętna odpowiedź. — To zwykłe ziele do żucia. Kok-sagiz.

UCZENI, ORGANIZATORZY I ROŚLINA

Przed uczonymi, przed pracownikami trustu kauczukowego postawiono zadanie: zorganizować masowe plantacje kok-sagizu w 1933 r. A przecież nie chodziło tu o aklimatyzację rośliny już znanej. Kok-sagiz, krym-sagiz i tau-sagiz, to były rośliny absolutnie nowe, nieznane nawet botanikom. Krótko mówiąc, zadanie polegało na przekształceniu rośliny dziko rosnącej w plantacyjną kulturę techniczną, dającą się użytkować jako surowiec dla masowej produkcji przemysłowej.

W wyniku badań uczonych i obserwacji praktyków palnę pierwszeństwa uzyskał kok-sagiz. Dzięki jakim zaletom kok-sagiz wyeliminował aż tylu konkurentów?

W pierwszych latach zagadnieniem centralnym była sprawa nasion. Mała ilość nasion, jakie dawały rośliny kauczukowe, z którymi eksperymentowano, była przeszkodą do wydatnego rozszerzenia obszaru zasiewów. Był to okres, kiedy agronomowie wzywali do zachowania każdego nasionka. Raptem nastąpiła zmiana. No-woodkryty kok-sagiz, obdarzony przez przyrodę fantastyczną płodnością (w kilogramie nie mniej niż 3 do 3 i pół miliona nasion) pozwala na nieograniczone rozszerzenie obszarów zasiewu.

Lecz na tym nie koniec. O ile taki tau-sagiz ma wygórowane wymagania co do gleby i najlepiej rozwija się na czarnoziemie, kok-sagiz rośnie na najróżnorodniej-

szych glebach. Egzotyczna gwaioła znów jest zbyt wrażliwa na mrozy. I dlatego właśnie nie może równać się z kok-sagizem, odpornym zarówno na chłody jak i upały. Mało tego. Zdumiewające ziele nie poddaje się szkodnikom i w walce z nimi wykazuje niezwykłą odporność. Wszystko to sprawiło, że z wielu dziesiątków tysięcy hektarów, zajętych pod uprawę roślin kauczukowych, znakomita większość przypada na kok-sagiz.

KALOSZE

— Kok-sagiz, to kultura, która pochłania wiele pracy — powiada agronom Woroncow, rejonowy specjalista od kok-sagizu. — Roślina ta wymaga przede wszystkim troskliwej opieki w pierwszej fazie rozwoju. Posadzisz nasionko zbyt głęboko — nie wejdzie. Chwasty bardzo łatwo je zagłuszają, dlatego pod siew należy wybrać działkę wolną od chwastów. Częste pilenie, nieustanna walka z chwastami jest warunkiem dobrych zbiorów. Kok-sagiz bowiem lubi czystość. Wysoki urodzaj zależy również od ścisłego dotrzymywania terminów siewu i zbioru. Kok-sagiz lubi punktualność. Spóźnisz się niewiele dni ze zbiorem nasion — wiatr je uniesie i cała praca przepadła.

Lecz Woroncow nie mówi, jak trudno było popularyzować uprawę kok-sagizu wśród nieufnych kolchozników, którzy z niedowierzaniem słuchali o nowej, nieznanej kulturze. W pierwszym zaraz roku trzeba było stoczyć zażartą walkę z chwastami, które groziły całkowitym zagłuszeniem wątłego przybysza z Tian-Szaniu.

„A taka rodzina Artiomowych wyrobiła w ubiegłym roku 1300 pracodni a tytułem premii za wzorową pracę przy kok-sagizie otrzymała 20 par kaloszy. Iwan Artiomow jest dziś na froncie. W domu zostały kobiety, lecz robota idzie dalej tym samym trybem, jakim on uczył i z tym zapalem, jakim natchnął, gdy pracował razem ze swoimi. Dba o to jego żona Natalia Artiomowa”.

Kok-sagiz nie tylko dał większe dochody kolchozom i kolchoznikom, ale stał się nowym bodźcem dla dalszego podniesienia poziomu kulturalnego wsi. Ludzie pracujący przy uprawie kok-sagizu, zyskali nową rolniczą kwalifikację.

Woroncow kilka lat temu był brygadierem kolchozowym. Cztery klasy szkoły średniej — to było jego wykształcenie. Czterdziestokilkuletni mężczyzna, naktknawszy się w swej praktyce na nową roślina, zaczął ją uparcie studiować. Te studia wciągały go w krąg co raz to szerszych zagadnień. Dzisiaj Woroncow, to człowiek, którego wiedza fachowa i talenty organizacyjne wydzwignęły na stanowisko agronoma.

Tak wygląda historia kok-sagizu, romantycznej rośliny, która z niepotrzebnego zielska, nieznanego, zapomnianego kopciuszka królestwa flory, przeobraziła się, jak za dotknięciem różdżki czarodziej-skiej w jeden z najcenniejszych surowców.

Problem gumy, gdzieindziej źródło niejednego kryzysu, zarzewie niezliczonych konfliktów dyplomatycznych i zbrojnych, w Zw. Radzieckim został rozwiązany w drodze pokojowej.

I my nie mamy naturalnego kauczuku, a kok-sagiz uprawiany jest na przestrzeni tysięcy hektarów na Białorusi, gdzie klimat jest przeciw surowy. Warto by Ministerstwo Rolnictwa, Związek Samopomocy Chłopskiej w porozumieniu z Ministerstwem Przemysłu zainteresowało się tą sprawą.

W „Brytanskim Sojuszniku” z 14. II. 1943 r. (Nr 7) czytalem notatkę:

„Związek Radziecki przysłał nam pewną ilość nasion kok-sagizu, który uprawia obecnie Londyński Ogród Botaniczny. Kok-sagiz będzie zasiany w różnych częściach Wielkiej Brytanii. Kok-sagiz w przeciwieństwie do drzewa kauczukowego udaje się w szerokości geograficznej Moskwy i wobec tego może być wykorzystany wszędzie w Wielkiej Brytanii.”

Związek Radziecki po 12 latach uprawy kok-sagizu posłał nasiona do wielu krajów sojusznicznych: do Indii, Australii, Nowej Zelandii, Kanady i Stanów Zjednoczonych.”

Lódź, listopad 1945 r.

St. E.

LIST DO REDAKCJI

Kochany Panie Redaktorze!

Przeglądając ostatni numer „Szpilek” (bo teraz na wsi zabitej od światła mało roboty i z nudów czasem się człowiek i do takiej lektury weźmie), przeczytałem kpinę z poetów piszących gwara, w formie listu od p. Sandauera, który jakoby pochodzi ze Sambora, następującej treści:

„LIST OTWARTY DO OB. PAWŁA KUBI-

SZA I INNYCH PISZĄCYCH GWARĄ

Szanowny obywatelu Kubisz!

Proszę was puknąć u wybaczni, że smim do was pisać pu naszymu, pu samborsku, ali si boim, zy, jak pisał bendy pu polsku, tu mi nie a nie ni rozumici. Słyszalym tu u jidnegu duzorecy z drugi kaminicy, zy wy, szanowny obywatelu, zabiraci si usobny szkoły w waszy wsi zalozyć i zyby tam dziesiśt abo i pitaści tu w każdy jidny gmini bendy sy gadać pu swujemu, kto pu pływiskiu, a kto pu renkurajsku i kuźde jidno miasto bendzi mi-tu swujegu najwinkszego puety. Narazi, zy-byście wy, szanowny obywatelu Kubisz, ni czuli si całtem samotny i zy niby nikt was ni rozum, postanowil-ym wszystko, co za życia mojego napisalym, przettumaczyc na jenzyk samborski i przeklady moi z francuskiego, z greckiego i z rosyjskiego tyż i krytyki i noweli tyż. Zygnaście obywatelu, ni mam duży czasu, muszy si zabirac du ty pilny raboty

Cześć

ARTUR SANDAUER”.

Przyznać muszę, że złośliwy list ob. Sandauera ze Sambora początkowo mnie ubawił. Ale zaraz potem mi się przykro zrobiło, bo zauważyłem, że odnosi się nie tylko do Kubisza, ale i do innych piszących gwara poetów. Mniejsza o Kazimierza Przerwę-Tetmajera, Władysława Orkana, Gustawa Morcinka, Juliusza Kędziorę, Władysława Kowalskiego i Mikołaja Reya, którzy przeważnie nie żyją, ale sam poczułem się dotknięty, bo jak P. Redaktorowi wiadomo, wypuszczam od czasu do czasu plody mojej Muzy w języku okolicznej gwary. Przeczytałem jeszcze list rzekomego obywatela miasta Sambora i wtedy mnie się oczy otworzyły. Zauważyłem bowiem, że ob. Sandauer stał szował gwara w perfidny sposób, mianowicie napisał regularnie po polsku, a potem powstawił wszędzie „u” zamiast „o”. Już to ob. Sandauer nie ma szczęścia do gwary, bo tłumaczył poemat z rosyjskiego, gdzie przytacza się ludowe wyrażenia, i jedno z nich brzmiało w przekładzie ob. Sandauera: „Cholera mu! Cholera im! Po tylko kopniakiem!”. W tym właśnie sęk, że ob. Sandauer ma ambicję być za „poliglote”, i wszystkie języki świata pozjadał, a gwara mu nie wychodzi. Żeby zdemaskować złość ob. Sandauera postanowiłem napisać list w języku najbardziej mu bliskim, tj. po łacinie, gdyż ob. Sandauer jako „filolog” stale narzeka, że obecnie w „Kuznicy” nie piszą tak jak to starożytni Rzymianie potrafili.

„Caro amico!

Quomodo Vas fratro taka pasja prendere, tytum poetam cum dialectum poesiam polscam facere? Habes non wstydarę Fratri poeti rustici aus „Wieś” napadare? Aber nos scimus, bene scimus, quomodo malam sercum ku gwaram habere. Huius proverbium: Kto habet krzywe nogi, tańcem nie lubi? Hic powodus! Hic pasenda! Hic nieladnie!

Saluto!

JOANNUS KROKWA”.

Proszę wybaczyć, Kochany Redaktorze, jeśli gdzieś kiedyś uczyniłem w łacinie pomyłki, bo już się od czasu szkół wiele zapomniało, niemniej przekonany jestem, że i tak moja łacina przewyższa samborską gwara zawisną ob. Sandauera.

Z poważaniem

JAN KROKWA

ze wsi Ciężkowice pod Tarnowem

NOWA CENA „WSI”

Zawiadamiamy, że ostatnia podwyżka cen prawie wszystkich czasopism, objęła również „Wieś”. Numer „Wsi” kosztuje obecnie 7 zł. Podwyższenie naszego pisma ma związek z chwilowymi trudnościami technicznymi i w miarę polepszenia warunków cena zostanie znów obniżona do 5 zł za numer.

Warunki prenumeraty ogłoszone będą w następnym numerze.

REDAKCJA

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96.

D-02774

— KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Kubicki Marian, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Pięta Stanisław.
KOMITET TERENOWY: Frasiak Andrzej, Nędza-Kubinię Stanisław, Kubisz Paweł.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik”.

Drukarnia Nr 4, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Łódź, Żwirki 2.

Dyskusja o gwarze

Dwie odpowiedzi J. Poganowi

STANISŁAW PIĘTAK

Sandomierskie
w kwietniu 1945 r.

Po krytycznych wypowiedziach K. Budzika i Artura Sandauera, którzy w naszej dyskusji reprezentowali naukowy punkt widzenia, zabierają głos znowu pisarze. Tym razem przedmiotem generalnego ataku stał się Pogan, którego głos dyskusyjny drukowaliśmy w Nr 19 „Wsi”. Zaczepiony przez Pogana autor „Podkrakowskich namówin”, Stanisław Jucha i literat Zdz. Jerzy Kempf, rozprawiają się z artykułem Pogana „Gwara to nie chłińszczyzna”.

Gwara—to kwestia słuchu

Jeżeli krytycy nie są zgodni co do autora, oznacza to, że autor jest w zgodzie z sobą...

Józef Pogan rozpoczynając w nr 19 „Wsi” dyskusję o gwarze, poświęca swoje rozważania mojemu fragmentowi „Podkrakowskich Namówin” zamieszczonemu w 15 nr tejże „Wsi”.

Dyskusja ta ma raczej charakter napaści połączonej z conajmniej niewłaściwym dowcipem na temat mojej pisowni gwarowej a nawet nazwiska... Dowcipy te pomijam milczeniem, jako nienadające się do poważnej rozmowy i stojące poniżej poziomu dyskusji bądź co bądź ważnej i poważnej — a przechodzę do właściwej rzeczy.

Pisanie gwary napotyka na poważne trudności wskutek tego, że nie ma tu żadnych prawideł, wskazań i reguł. Pisarz musi się kierować jedynie wrażeniami słuchowymi i na oddanie ich musi sobie obmyślać odpowiedniki w pisaniu. Oczywiście, każdy inaczej może słyszeć, a zwłaszcza może się starać innymi znakami pisańskimi te dźwięki oddawać.

Jeżeli chodzi o poszczególne zarzuty, jakie mi robi Pogan, to przyznam, że najbardziej mnie zastanowiło skrzytykowanie formy „łobraniec”, „un”, „chłopoki”, „pude”, „Jocy”, „jages”, „jedym”, „zemnaneś” — (zniekształcenie słowa przez zecerę, w rękopisie było „zemnaneś”) oraz „Poniezus”. Wypadki użycia „ł” lub „a” przed u może rzeczywiście wyraziście byłoby oddać inną pisownią, natomiast wyrażenia jak to Pogan nazywa „zryczaltowane”, „Poniezus” są nie tylko czystą gwara, ale nawet w bardzo wielu wypadkach usankcjonowane (Tetmajer, Kasprówiec i Zagadłowicz w swych balladach o Powsinogach Beskidzkich jakże często używają tych zryczaltowanych wyrazów „Poniezus”, „Ponhóg”, „Jezumilypanie”), o których jakże śmie się przynajmniej atakując, że nie tylko w piśmie (sic!), ale i w mowie nie zaobserwował wyrażenia „Poniezus” — kiepski to obserwator, krytyk i literat, skoro swej rodzinnej polskiej literatury nie zna!

Także wyrazy, jak „chopoki”, „pude”, itd. tak właśnie brzmią w mowie ludowej i w podobny sposób używa gwary Pogan pisząc np. (patrz fragment powieści „Biedny i Bogaty”, „Wies” nr 20), „w łózkak”, „wsta-fojcie”, „bedymy”, „placiel”, „pinędzy”, „godom” itd. — są to te same chwyt, choć na innych użyte słowach.

Czy są trafne czy nie, możnaby się spierać o każde słowo i spierać się mogą pisarze póki nie powstanie czy gramatyka czy słownik gwary. Czy taki słownik jest wogóle możliwy do ustalenia — wątpliwe...

Zaduzo jest różnica wymowy już nie od prowincji do prowincji, ale od wsi do wsi...

Czyż reszta chodzi tu o poszczególną samogłoskę lub spółgłoskę, czy też o cały charakter wymowy, innej niż wymowa inteligentka?

I na zakończenie tych paru słów odpowiedzi Poganowi, powtarzam jeszcze: — tutaj gra rolę kwestia słuchu. Przypok mi, że widocznie mam inny słuch niż Pogan.

Ale, dopóki gwara nie skostnieje w martwych korbach gramatyki — niech wolno będzie każdemu pisać jak słyszy i wyczuwa, a nie wysłuchiwać nie uważ, ale impertynencji i napaści.

STANISŁAW JUCHA

Pomyłki Pogana

Artykuł Józefa Pogana w 19 nr. „Wsi” o zagadnieniu gwary poruszył kwestię żywą i ważną. W czasie mojej dyskusji z autorem w Będkowiecach w latach okupacji uzgodniłyśmy wiele spraw, dzisiejsze jednak stanowisko autora odbiega od tamtych ustaleń. Ponieważ Redakcja „Wsi” uprzejmie zaprasza wszystkich zainteresowanych do wypowiedzi, czynię tych kilka uwag. Atutem moim skromnym niech będzie fakt, że mam ukończone studia polonistyczno-slawistyczne w zakresie językoznawczym oraz 5 lat

bliskiego życia się z chłopami i opanowania gwary Będkowiec (powiat Olkusz) tak, że sam nią dziś piszę.

Więc najpierw przed meritum sprawy: Mówi się w niektórych gwarach „un”, „jages”, „Pombuk”, „Poniezus” i „brzycki”. Pisownia gwarowa „łokno” i „uokno”, „plot”, „puot” jest usprawiedliwiona, bo tak się mówi. Co więcej, mówi się „ic” zamiast „idz”, „sieć” zamiast „siedz”, „grat” a nie „grad” i to nie tylko w gwarach, ale i w języku literackim. Nikt w Polsce nie mówi „idz”, „siedz”, chyba jakiś pedantyczny dziwak. Mówi się zatem „ic”, „sieć”, „grat”, choć się tak nie pisze. Bo mówić a pisać to dwie różne rzeczy.

Istnieją tak nazwane przez Pogana „zryczaltowane” wyrażenia, wbrew jego twierdzeniu — nawet w języku literackim. Należą do nich zwroty literackiego języka: „dobranoc!”, „Wielkanoc”, „jak się masz?” (jak-siemasz). Gwarowe: „Pombuk”, „Poniezus”, „Wielgawieś” (w odmianie: Wielgiwsi), nawet „święty Pieterpawel”.

Już w czasie dyskusji naszych w Będkowiecach zauważyłem, że Józef Pogan podlega może i dajacemu się wytłumaczyć złudzeniu, że w całej Polsce gwarowej mówi się jednako. Popiera to jego twierdzenie w ostatnim artykule: „przecież można fonetykę wszystkich narzeczy sprowadzić do wspólnego mianownika”. Jest to złudzenie autora tych słów. Co by Józef Pogan powiedział, gdybym go zapewnił, że Kaszubi nie mówią „gibki” tylko „dzipei”, że w szeregu dialektów Polski północnej nie mówi się „wefna”, „melf” tylko „wiofna”, „miof”, nie mówi się „swiat”, „świadek”, tylko „śwat”, „śwadek”, nie mówi się „bieda”, „piwo” tylko „bzieda”, „psiw”??

A teraz sedno zagadnienia.

1) Różnica między wymową a pisownią. Język jest organizmem żywym i podlega rozwojowi — ciągle się zmienia. Przy tym w rozwoju takim wymowa zmienia się prędzej, niż pisownia potrafi te zmiany dogodzić.

Wymowa wyrasta ciągle z zaciśniętej pisowni jak młodzieniec z butów. Pisownia jest konserwatywa, wymowa radykałem. Np. Francuz słowo „piękny” pisze ciągle i uparcie „beau” (4 litery), choć już od wieków wymawia „bo” (2 głoski). Podobnie Polak pisze „idz”, choć mówi tylko i wyłącznie „ic”, pisze „urzędnik”, choć mówi tylko „urzennik”, pisze „sześćdziesiąt”, choć mówi tylko „szedziesiąt”. Stąd jasne, że pisownia stała być nie może, jest ona ciągłym provizorium. Narody konserwatywne jak Anglicy, Francuzi zachowują starożytną pisownię, choć mówią już całkiem inaczej. Narody radykalne reformują ją ciągle, bo chcą, żeby pisownia zgadzała się z rozwojem języka i jego wymową. Tak np. pisownia serbska jest młodociana i fonetyczna: pisze się tam „potpalili”, = podpalić, nie zaś „podpalili”, pisze się nawet „srpski” = serbski, choć się mówi Srb = Serb. Polaka jeszcze nie stać na ortografię „serpski”, choć tylko tak wymawia. W polskiej pisowni jest jeszcze dużo konserwatyzmu. Trzeba więc zrozumieć fakt, że jeśli się dziś pisze różnie „stóg” i „stuk” = hałas, to nie dlatego, że by się te dwa wyrazy inaczej wymawiało, bo wymawia się wprawdzie, w dzisiejszej naszej pisowni jest więc „ó” niepotrzebne, a jeśli jest zachowane, to przez konserwatyzm, dlatego, że w dawnej Polsce wymawiano się „ó” inaczej niż „u”. Choć więc zawsze mamy w danym kraju ustaloną panującą pisownię, nie jest ona świętością i nienaruszonym kanonem. Tylko nienaukowicie ma dla pisowni kult, natomiast uczony — filolog patrzy na nią z uśmiechem pobłażania jak na coś nieświeżego, zmiennego i wiecznie niedoskonałego jak na zjawisko, które się bada.

2) Nie ma ortografii gwarowej. O ile jednak filolog — naukowiec nie potrzebuje ustalonej pisowni i słowniczka ortograficznego, to profan — nienaukowiec, który o prawach języka nie ma wyobrażenia, potrzebuje tym więcej właśnie pisowni ustalonej. Musi ją mieć, bo inaczej zapanuje kompletny chaos. W tym więc celu akademie umiejętności wszystkich krajów wydają obowiązujące zasady pisowni danego języka. Pisownia „urzędowa” dotyczy jednak tylko języka literackiego. Nie ma nigdzie obowiązujących pisowni gwarowych i myśl o czymś podobnym jest mrzonką. bo gwar jest w każdym kraju dużo a piszących gwara mało.

3) Transkrypcja gwarowa. Naukowi badacze gwar używają do ich spisywania specjalnej odmiany alfabetu transkrypcyjnego, w

którym każdą głoskę wyraża się jedną literą. Tak np. w słowie „dziób” są tylko trzy głoski (dźwięki) dż-u-p, choć piszemy 5 liter (znaków). Naukowcy piszą to trzema literami. Zapisują oni gwara tak, jak się ją dziś mówi. Piszą więc „pombuk”, „Poniezus”, „jages”, „pude”, „uokno”. Gdybyśmy chcieli zgodzić się na zarzuty Józefa Pogana, musielibyśmy stwierdzić, że znakomity dialektolog polski prof. Kazimierz Nitsch w swych „Tekstach gwarowych” w „Dialektach języka polskiego” i w szeregu źródłowych prac, które są chlubą nie tylko dialektologii polskiej, lecz europejskiej nawet, „postrzelał” grubo więcej błędów niż delikwencji Józefa Pogana — Kubisz i Jucha.

4) Wybór między pisownią „urzędową” a fonetyczną. Ponieważ zatem „urzędowej” pisowni gwarowej ustalić nie można i nie ma celu, trzeba wybór rodzaju pisowni ludowej zostawić samemu pisarzowi, jego sumieniu i odpowiedzialności. Tak też dotąd było. Nikt nie atakował z zacietrzewieniem godnym lepszej sprawy — pisowni Tetmajera, Reymonta czy Kędziora, choć filolog — znawca na niejedno mógł pokreślić nosem. Autor ludowy ma do wyboru między pisownią „urzędową” 1) „ptak”, 2) „ser”, „śnieg”, 3) „gęba”, „maka”, „chodzą”, „matkę”, 4) „okno”, 5) „czas”, „zaba”, „nasz” i t. d. a pisownią fonetyczną danej gwary tzn. tak, jak się ją dziś wymawia: 1) „ptok”, 2) „syr”, „śniyk” („śnik”), 3) „gymba”, „gamba”, „monka” („munka”), „chodzom”, „matke”, 4) „uokno” (łokno), 5) „cas”, „zaba”, „nas”. Podane tu pod numerami zjawiska to tylko ich drobniutka część, jedna fala w ogromnym morzu zagadnień i zjawisk polskich dialektów, zjawisk, które pisarz ludowy ma prawo przełać na papier.

5) Względę praktyczne. Pisarza ludowego piszącego „mlyko”, „Pombuk”, „fto”, „na nogak” nie możecie za to stawiać przed sądem, bo wam odpowie: „Piszę gwara, nie językiem literackim, a gwara nie ma ustalonej ortografii”. Będzie miał słusność. Powiedziałby wam zresztą jeszcze: „Piszę tak, bo tak słyszę, gdybym pisał inaczej, okłamywałbym was i przekreślał rzeczywistość”. I miałby ten pisarz słusność po raz drugi. Co innego jednak względy praktyczne. Pod tym kątem widzenia zbliżył się do żądań Józefa Pogana. Ortografię więc „literacką” („ptak”, „gęba”, „okno”) można stosować w piśmiennictwie ludowym w związku z faktem urbanizacji kultury wiejskiej, co zwłaszcza po obecnym przełomie dziejowym stanie się zjawiskiem powszechnym i pójdzie w tempie przyspieszonym. Nie ma sensu bronić gwar przed zalewem języka literackiego, bo one temu zalewowi i tak ulegną.

6) Zostawiając pisarzowi ludowemu wolność pisowni gwarowej z jednej strony i apelując do jego sumienia i odpowiedzialności z drugiej, tzn. aby nie był niechlujny i nie pisał raz tak a drugi raz inaczej, oraz nie pisał jak Filip z Konopi „Płóg”, „dlógo”, co słusznie podkreślił Pogan, warto by wnieść do ludowego pisarza jeszcze jeden gorący apel. Niech postara się on o jakieś takie przygotowanie językoznawcze. Przecież nie znając tajemnic swego języka ojczystego, jego prawideł i historii będzie on zawsze dyletantem. Radziłbym też pisarzom ludowym zwrócić się w trudniejszych sprawach do gwaroznawcy, prof. Kazimierza Nitscha w Krakowie, tego „pracowitego pajaka”, który siecią swoich badań oprął całą Polskę, jak się o nim wyraził Żeromski w dziele swoim „Snobizm i postęp”. Uczony zadziwi każdego głębią wiedzy, a wyjaśnienia odmówi nikomu.

ZDZISŁAW JERZY KEMPF



Czy i ptak opuścił tę krainę?

Trupy drzew, leje otwierają dna.

Marec w pustce idzie i na minę

stąpnie, wystrzeli w śniade niebo piach.

Po horyzont martwo, spaleniska.

Rany lasów, stęp pól, kościołów rdza.

Liść nie błysnie, uschną bojów rzyśka

zostanie matek, co tu idą, iza.

Ziemio, jakże byłaś żyzna, piękna.

Strumieni, zbóż, pagórków niósł się głos.

Wieczorem dziewcząt u wrót pieśń tęskna

chwiała w promieniu gwiazdnym kwiat i kłos

Dziś krwią, echem zmarłych tylko broczysz.

Rola nie burzy się, drutami schnie.

O, kto kochał chat twych siwe oczy,

do domu swego wróci, ale w śnie.

ZYGMUNT SIERP

Pasłem krowy

W sinawy pobrzask zanurzone szyje
liza olchowy poranek nad bagnem —
pod mgłą wczorajszą przebudzone ptactwo
sny wytrzępuje piosenką beładne.

Gdyby tu Ezop chciał podrzucić bajkę

(na pewno taką, która nie zaginie),

toby mnie spotkał strzegącego między,

za którą rosną skarby w koniczynie.

Opodał widać zaranną idyllę,

jak bałamuca się w gąsienicach ptaki,

która obchodzą bociany wstydliwie,

miękkie wzruszenie unoszą za krzaki.

Nikt się nie śpieszy, tylko czas odpływa

wysoką chmurą przez nieba wierzeje —

tylem go czekał, że na pewno starczy,

wymionom, w których nasz udój dojrzeje.

JOZEF-ANDRZEJ FRASIK

Poeta demokracji

Adam Włodek rozpoczął swoją działalność poetycką w okresie okupacji, czytając pierwsze swoje utwory na konspiracyjnych wieczorach Krakowa, głównie w domu Heleny Włodek-wiejskiej. Wyrastał w atmosferze buntu, przeciwstawiając się rzeczywistości i wtedy właśnie, w okresie obejmującym pierwsze jego próby poezjowania, w kontakcie z pisarzami o demokrację i krótkiej orientacji, rozpoczął się proces krytycznej oceny poetyckiego światopoglądu. Z początku chodzenia będąc chłopcem, — poeta niejedno-krotnie daje wyraz swojej chłopskości dawnej — nie tej sielskiej-anielskiej, ale dynamicznej („pradziad poszedł czerwona robotę Szeli wspierać”). Dziś poeta znajduje się już poza tą chłopską rzeczywistością, „chłop urodzony w mieście”, jak sam pisze o sobie w wierszu pt. „Pamiętam” — tu, w mieście, zostaje całkowicie wchłonięty przez walczyk i wyzwala się z proletariatu, z którym zespała się ideologicznie, śpiewając wszystkie jego tęsknoty i smutki. Od ziemi więc, poprzez małorolność i bezrolność wreszcie, widzie ideologiczny rodowód poety. Jeszcze echa dawnych z dzieciństwa wyjętych koniczyn i chałup („Widzę wszystko tak jasno, gdy strzechy cieni chłodem owijają mi twarz”), a już jawi się pocieja „robotnicza troska nabiegła krwią”. To beznolny chłop, rzucony w miasto, uświadamia sobie łączność z proletariatem. Ale Włodek nie można nazwać z tego powodu poetą klasy robotniczej, Włodek nie trzyma się ciasnych ram klasowości, ale w swoim poetyckim odczuwaniu, sięga dalej — i to jest piękne — do dziedziny ogólnonarodowych. Jego poezja, to „biało-czerwony” z czerwonym śpiewem.

„Najcichszy Sztandar” jest pierwszą książką poetycką Włodeka. Co do formy książka ta bierze rodowód z „Awangardy” poetyckiej, głównie z Przybosa, którego nowatorska technika poetycka zaciążyła bardzo poważnie na młodym pokoleniu pisarzy. Włodek uległ temu wpływowi całkowicie, co odbiło się wyraźnie na strukturze wierszy zbioru. Czy wybór szczególny? Okaże przyszłość. W zbiorze niema ani jednego wiersza stroficzego, pisanego według zasad klasycznej poetyki. Poeta unika starych form wierszowych nawet tam, gdzie słowa same łamią mu się w strofe, jakby uważał je za wygrane, wyspiwane już, a zatem banalne. A szkoda. Bowiem Włodek jest poetą z prawdziwego zdarzenia. Nie śpiewa cudzych myśli, ale swoje własne wizje przeżyte. Nie tworzy pięknych zdań, o niczym, ale śpiewa rzeczy drobne i wielkie, które dzieją się obok niego i w nim. W tym leży wartość jego poetyckiego debiutu.

* Adam Włodek, *Najcichszy Sztandar*, poezja, Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik”, Kraków 1945 rok, stron 32.

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

Ziele w ogrodzie

(Wyjętek z powieści)

Mam przeszło sześćdziesięciosobową gromadę dzieciaków. Same to łowiczanki z najrdniejszych książek. Dziewczynki noszą welniaczki w szerokie pasy żółte i różnokolorowe drobniejsze. Głowy obwiązują kolorowymi chusteczkami. Są tegie, rozłożyste w tych bufiastych i fałdzystych „kiecach” sięgających n ledwie ziemi. Zresztą zawsze coś mają za dużego, bo robionego na „wyrast” w tej nadziei, że nie zedrze się na jednej skórze, a starczy dla kilkorga. Chłopcy nie mają kolorowych portek — (moja wieś, leżąc na kresach łowickiego, poddaje się już wpływowi zewnątrz). Mają ubrania sportowe, skrojone na wzór „miejskich” z kieszonkami po bokach, na pierśiach i z pasczekiem z tyłu. Ale jest w tym autentyczna wlna utkana na samorodnych krosnach, ufarbowana w kuchni przez matkę w zwykłym saganie na kolor czarny lub ciemnoburaczkowy. To kanon, od którego nikt się i dziś jeszcze nie waży odstąpić pod groźbą narażenia się na śmiech.

Kiedy wchodzi do klasy i rzucam okiem na skupioną w pięcioosobowych ławach czeredę, mimowoli porównywał i oceniał. Ten nawyk u młodego nauczyciela jest echem wszystkich owych wyższych ambicji, jakie budzono w nas w seminarium, echem przykazania o podniesieniu roli społecznej pedagoga.

Twarze moje dzieci mają miłe w wyrazie. Brak w nich spłaszczeń w owalu. Lekko szersze w czole, łagodna linia policzków łączy się w dość spiczastą brodę, tworząc kształt wysmukłego serca. Widocznie nikt na tych błotach nie osadzał zagarniętych w niewolę Tatarów, bo brak jest skośnych szpar oczu, nawisłych fałd nadocznych i kości policzkowych wypukłych. A jeśli nawet byli, to utonęli w rasie książeczkiego chłopca.

Ale co jest z włosami? Ani jednej głowy prawdziwie mazurskiej — lnianowłosej. Czaszki są poroście szaropłową, ciemnoblond gęstwą prostych, twardych włosów — ani jednego z poetycką kłęboną czupryną. Skąpstwo natury, czy selekcja gatunku? Może to zresztą jedna z wielu nieznanych mi dystynkcji łowickiej rasy?

Noski mają jeśli nie zadarte, to proste. Ale spotykają się u nich i „arystokratyczne” — zgola orle albo sokole. Przypomina się żart naszego doktora szkolnego (powiedziany zresztą półserio), że blisko dworów i kościołów ludzie na wsi nieźle są podrasowani... A jeszcze łowickie, dominium arcybiskupów — prymasów — interreksów. Wysoko to były przecież postawione osoby, same magnackieoczyty!... Czy? Najwięcej zielonych, potem niebieskich, a czarne rzadko. Jeśli się takie znajdują to — rarytas. Każdy się czuje w obowiązku czarnym pizmować.

— „Zosia! coś ty się dzisiaj nie myła, takie mos oto brudne ocki. Zosia!...”

Nie wiem, co to jest takiego, nie mogę sobie odpowiedzieć na pytanie w granicach mojej wiedzy — (seminarium nie wystarcza na te zagadnienia) — czemu oto z tej pięćdziesiątki baków wysunęły mi się dwa. Dwie dziewczynki. Traktuje przecież wszystkich równo, jak trzeba. A jednak Jaska jest mi jakaś bliższa, wyraźniejsza, zawsze ją zauważę, zawsze na nią zwrócę uwagę. Czy dlatego, że się najlepiej uczy? Że wszystko doskonale pamięta? Że zawsze, że codziennie, pedantycznie robi i robi dobrze? Nigdy nie zapomni? Nigdy jej „mamusia do roboty nie napędzi”? Nigdy do szkoły się nie spóźni? Nigdy się nie skarży, ani na nią nie donoszą? Zawsze jest chętna, miła, ruchliwa, nie za głośna, podskórnymi jakby uśmiechnięta? Czy dlatego? Uśmiech ten — nazywam — niciany, wąską, wąziutką strużką cienkich warg zakreślony, spływający niteczkami bród przynosowych na całe liczo. Ledwo, ledwo się zapala maleńkie „panienki” źrenic. Czy ma małe — rozbiegane, spłoszone, drgające, rzadko gdzie i kiedy miejsca zagrzeją. Ale zarazem uważne, skupione, jak u dzikiego zwierzątka.

Druga — Stefka... Gdy na nią spojrzę, uśmiecha się do mnie jakoś wstydliwie, nie dziecięco, ale jak gdyby kobieco. Czyżby to była malutka kobietka? Czyżby się w niej już to odzywało? Niemożliwe! Ma dwunasty rok dopiero! Być może, że nie, ale coś takiego w tym jej uśmiechu jest, czy widzę? I za ten uśmiech chyba ją lubię, za uśmiech, który mi coś przypomina, coś podsuwa, czego nie ma, czego nie widziałem, ale co mógłbym przypominąć, co mógłbym tak mi się wydawać — np. wierszem wyrazić. Co to jest takiego? Wystarczy, bym tylko wśród lekcji spojrzeć na nią, krótko, przełotnie, a gdy się uśmiechnie po swojemu, wargami i oczyma, wbija mnie w zdumienie samo pytanie: co to jest?

Jest jakaś ufna, śmiała, spokojna, jak gdyby koleżeńska. Nie czuje zakłopotania, gdy czegoś nie wie. Nie wstydzi się, gdy ze mną rozmawia. Stanie przy mnie, podniesie głowę wysoko, o czy na mnie pewnie oprze, czy jakiegoś błodniebieskiego, ciche, bez dziecięcych figlików lub dziecięcego leku.

Mówi: — nie, nie to — i podnosi śmiało rękę moją z karty zeszytu czy książki, opiera ją na stole i swoimi przemarniętymi czerwonymi palcami przewraca stronicę, szuka. Podnosi moją dłoń tak, jakby to nie była moja, jakby to była jej rzecz — śmiało i swobodnie. Nie mogę się temu nadziwić. Tej otwartości.

*

Kiedy o nich dwóch myślę — reszta jest plamą. Całokształt bez szczegółów. Zaginęły

indywidua. Nie widzę dażeń, chęci, objawów. Nie obchodzi mnie blisko, ponieważ mnie nie uderzają. Pozostaje szereg, rząd na ćwiczeniach, który wykonuje rozkaz. Wyjąć książki, wyjąć zeszyty, czytać cicho albo głośno, wstać czy siąść. W skrócie wykrzyknikowym: wstań! — siad! Męczyłoby mnie niezmiennie wszystko widzieć, kojarzyć, pamiętać. Nie chcę już, odcinam pamięć. Czy celowo, czy świadomie? I dlaczego nie mogę inaczej? A może nie chcę?

*

Dzisiaj, zaraz z rana, zauważyłem, że Stefka coś się koło mnie za dawała. Raz, drugi, trzeci. O co chodzi? Ja do drzwi — ona do drzwi. Wypredza mnie. Ja na dwór, ona do klasy. Opuszcza jakoś charakterystycznie, znacząco głowę. Jest bez chustki. Co to ma znaczyć? Czyżby ten grzebień? Nic nie mówię, czekam i obserwuję. A Stefka na lekcji nieustannie się czeze. Raz wraz patrząc na mnie głodzi ku tyłowi swoje zwichrzone, suche włosy. Co mi przez to chce powiedzieć? Jedna pauza — to samo chodzenie. Druga pauza — to samo. We włosach, roztrzepanych włosach, trochę jakby wyburzałych, zielonopstry, modny grzebień. Wczepiła go sobie w sam czubek głowy. Wstaje i patrzy ostentacyjnie na jej potarganą głowę. Zatrzymuje się — zatrzymuje się i ona. Widzę, że już otwiera usta, że już — już chce przemówić. Więc udaje, że nie nic nie zauważyłem i wracam do lekcji. Wyraźnie się zachmurzyła, wyraźnie jest niezadowolona i rozczarowana.

Jestem dziwnie uparty i przekorny. Nic.

Dopiero, gdzieś pod koniec lekcji, pytam:

— A cóż ty Stefka masz taki cudaczny grzebień?...

Utonęła cała w uśmiechu. Śmiała się ustami, oczyma, całą twarzą. Zrobiła się aż czerwona. Urosła, wyolbrzymiała. Wyjęła grzebień, niby niechcący i pokazuje mi takim jakimś gestem, z którego mam zrozumieć to, że bym go wziął we własne ręce.

— Mamusia — mówi — mi kupili wczoraj na jarmarku... Kostował ty złote...

Słucham, oczywiście, słucham pilnie tego wszystkiego, kiwam głową i mówię: no, no — też grzebień... ale że to taki zielony?... co?...

— A bo ja taki nojbardzi lubię...

Ciekawe, myślę sobie, ciekawe: czy też dlatego go masz, że lubisz zielony, czy też dlatego lubisz zielony, że taki masz... ciekawe. Odsunąłem się od gromadki i niby nie zwracam na nią uwagi. Ale widzę kątem jednego oka, jak się puszy, jak się wznosi między dziewczynkami, jak rośnie, że oto sam pan zainteresował się jej grzebieniem. I nie pamięta już pewnie, ile to się nastarała, że bym go zauważył.

MACIEJ CZUŁA

Pisarze ludowi byli dziennikarzami

W numerze 10 „Wsi” w artykule naczelniczego redaktora p. t. „Sztuka najtańsze dobro biednych” znajduje się między innymi taki ustęp:

„Ci powiatowi pisarze jak Szarek i Magryś pisali o wszystkim: artykuły polityczne, opisy kraju, powiatki, legendy, przysłowia, wiersze itd. Ale zawodowymi dziennikarzami ani literatami nie byli. Ich „powiatowa” rola ani nie dozwalała tego, ani nie wymagała. Magryś, który ma w swym dorobku 111 pozycji artykułowych, pisywał mniej więcej cztery razy na rok...”

Magryś rzeczywiście jako literat ludowy napisał za mało. Ale inni napisali od niego znacznie więcej, niektórzy nie 4 na rok, ale 4 artykuły na tydzień. Sprobowaliśmy wymienić i policzyć niektórych chłopów-dziennikarzy, ale przed tym ustalmy, kto może być uważany za dziennikarza?

Otóż moim zdaniem dziennikarzem jest ten, kto przynajmniej pisze jeden artykuł na tydzień. Tak bywa z każdym, kto redaguje pismo tygodniowe, daje przeważnie do każdego numeru.

Przypomnieć chociażby można Bojkę. Pisał bardzo dużo w latach — zdaje się: 1907 — 9. Redagował natenczas w Krakowie organ SL „Przyjaciela Ludu”. Albo Wincenty Witos, kiedy w latach 1919 — 24 redagowałem mu jego przyboczny organ „Lud polski” pisywał prawie stale co tydzień artykuł.

Dziennikarzem mógł się śmiało nazwać Jan-tek z Bugaja, gdyż redagował naprzód „Cepę”, potem „Figlarza”, a pisywał także stale do „Dziennika Związkowego” w Ameryce, za co otrzymywał 10 dol. miesięcznie. Dziennikarzem był Wł. Wójcik (dwie klasy gimnazjalne) redagując jakiś czas „Przyjaciela Ludu”, a po wyemigracji do Ameryki, pisywał mnóstwo artykułów (kilka tygodniowo) do „Ameryki Echo”.

Redaktorem dziennikarzem był także Niećko i choć on podobno nie wiele z wielkiej nauki wziął — przecież jest na swój sposób wybitnym dziennikarzem.

A w końcu redaktorem i dziennikarzem może być nazwany i autor tego artykułu — bo jakiś czas pracował stale w Redakcji „Piaśta”, a cztery lata był redaktorem (rzeczywiście) „Ludu polskiego” w Tarnowie. Wiele chłopów-samouków było dziennikarzami i zapewne jeszcze wielu nimi będzie.

WYJAŚNIENIE

Pisałem o tym, że pokolenie Szarka, Magryśa i Sawczuka nie wytworzyło zawodowych literatów i dziennikarzy. Na co się Maciej Czula zgadza. Pokolenie to działało 70 — 60 lat temu. Okres dziennikarstwa ludowego, z którego szereg pisarzy i pozycji wymieniamy M. Czula liczyć dopiero można od 40 lat. Po tym wyjaśnieniu jesteśmy już chyba w zgodzie. Niechże ja jeszcze umocni artykuł wstępny, poświęcony właśnie tej drugiej fali pisarstwa ludowego i tłumaczący społeczne warunki jej powstania.

J. A. KRÓL

Za sąsiedzką miedzą...

Co się dzieje na Zaolziu

Organ intelektualistów czeskich a zarażem dziennik praskiego „hradu”, wychodzący w Bernie pod tytułem „Svobodne Nowiny” przynosi w numerze 180 z dnia 23 grudnia 1945 roku na pierwszej stronie doniesienie z Pragi pod tytułem: „Obrońmy swe przedmonachijskie granice”. Cytujemy artykuł ten in extenso:

„W ciekawej i pełnej inicjatywy dyskusji, która się odbyła dnia 20 grudnia br. w komisji zagranicznej tymczasowego Narodowego Zgromadzenia po ogłoszonym exposé ministra spraw zagranicznych Jana Masaryka, zabrała głos większość członków komisji ze wszystkich partii politycznych narodowego frontu. Przedmiotem zapytań były przede wszystkim stosunki na Cieszyńskim i kwestie wiążące się z wznowieniem rewizjonizmem węgierskim.

Postawie, którzy wnieśli zapytania w sprawie Zaolzia i o naszym stosunku względem Polski, wskazywali w szczególności na odmienne postępowanie czesko-słowackiego i polskiego rządu w kwestii cieszyńskiej w ostatnim czasie. Polacy nie przycisnęli (nesewuj) swej szczupłej kampanii, którą prowadzi wszelkimi możliwymi i najbardziej drastycznymi środkami — a także ze strony polskiego rządu dotąd nie usłyszeliśmy żadnej wypowiedzi, która oznaczałaby zmianę żądania o rewizję cieszyńskich granic. W przeciwieństwie rząd czesko-słowacki nie tylko w swych oficjalnych wypowiedziach, ale także w administracji na Zaolziu cechował

umiarkowanie (zdrženlivost) i największa dobra wola względem polskiej ludności na Cieszyńskim. Z porównania polskiej aktywności i czesko-słowackiego umiarkowania zniknęło w ostatnim czasie na Zaolziu poczucie niepewności, zaś miejscowa ludność się zapytuje czy może czesko-słowacki rząd nie opuścił coś (neslevil) ze swego zasadniczego stanowiska w kwestii cieszyńskiej.

Minister spraw zagranicznych, odpowiadając posłom, znowu powtórzył to, co już wygłosił w swym exposé i podkreślił z pełnym zdecydowaniem, że rząd czesko-słowacki w żadnych wypadkach nie zrzeknie się Cieszyńskiego i rzec się go nie może. Swe przedmonachijskie granice bronimy zasadniczo i konsekwentnie a także je obronimy. Wszyscy członkowie rządu w tym względzie wykazują jednomyślność”.

Tyle o Zaolziu, dalszy ciąg artykułu poświęcony jest sprawie węgiersko-czeskiej, która nagle wypłynęła po ostatniej bytności delegacji węgierskiej w Pradze. Węgrzy dosyć zdecydowanie wypowiedzieli swe stanowisko w sprawie obszarów zamieszkałych przez ludność węgierską, a znajdujących się również w obrębie działań administracji czeskiej. Jest to więc już drugi po polskim Zaolziu „szkopuł” w czeskiej polityce zagranicznej.

Nie chodzi nam zresztą o inne kłopoty czeskie, lecz o sposób przemawiania czeskich polityków czy tymczasowych, dory-

wczo mianowanych posłów w sprawie Zaolzia. Sposób ten jest mocno perfidny i haniebny w sam raz może nadający się do powielenia w biuletynach angielskiej agencji prasowej „Reuter”, która tak bardzo lubi przedrukowywać bezpodstawne elukubracje i słowną ekwilibristykę czeskich polityków jeśli chodzi o tendencyjne wypowiedzi w sprawie Zaolzia, zbrojnie i podstępnie zagarniętego przez czeskiego generała Snejdarka dnia 21 stycznia 1919 roku. Jeśli dzisiaj czeski minister spraw zagranicznych Jan Masaryk śmie twierdzić, że administracja na Zaolziu bodajże pozwalała się zjadać jak baranek tamtejszym Polakom, gdyż cechował ją aż taki umiar, to niestety my właśnie musimy stwierdzić inaczej.

Więzienia... owszem siedzą w nich Polacy! Wysiedlenia... nakazy dziesiątkami płyną każdodziennie pod adresem słowiańskich polskich rodzin na Zaolziu. Napisy, tylko czeskie... tak na sposób niemiecki! Język urzędowy... tylko czeski! Szkolnictwo polskie... cmentarz. W roku 1939 za rządów czeskich, wyniszczających to samo polskie szkolnictwo słowiańskie było na Zaolziu 78 ohronek. dzisiaj jest ich tylko 18! Szkoły gospodarcze na Zaolziu... posiadali Polacy 3... dzisiaj nie mają żadnej. Dawanie pracy Polakom... szopa... jeśli ktoś będzie lojalny tzn. okaże w sobie zadatek na zczeczizowanie może otrzymać pracę... łopata do „rak”, studia nieważne! Tak brzmiał i tak się nazywał umiar czeskiej administracji na Zaolziu, brawo panie ministrze Janie Masaryku! Ba nawet czeska gwiazdka jest dla Polaków na Zaolziu, w wigilię dnia 24 grudnia 1945 do polskiej rodziny w miejscowości Rychwałd na Za-

olziu wtargnęła do mieszkania czeska policja. Na stole palila się choinka, a polską rodzinę wysiedlono poza granicę słowiańskiego państwa! Dotąd około 15.000 Zaolziaków musiało opuścić swe rodzinne strony, bo tam brak pracy, szary, widmo najgorszych chwil, — poszli do Polski, przeklinając tych, przybyśców z Moraw i Czech, którzy przyszli rozburzyć im i wykraść kraj rodzinny w ich własnym domu! Ale pan minister Masaryk gada, gada także o nieustępliwej propagandzie polskiej, mając na myśli propagandę czeską, te wszystkie wycieczki broszurowe różnych kryminalistów w rodzaju takiego Joza Vochala. Alboż taką propagandą jaką tumaniono Radę Ambasadorów w roku 1920, kiedy kazano sfluować rzekomo prawo czeskie do Śląska, Koźdoniowi, którego pan Hitler odznaczył później złotą odznaką NSDAP a ojciec ministra Jana Masaryka ładnie i pochwalnie opisał w swych filozoficznych książkach, prawiąc, że jedynie Koźdoniowi zawdzięcza Czechosłowacja „nabycie” Zaolzia! Pamiętajmy to, dobrze pamiętamy. I wiemy o tym, jak dzisiaj rehabilituje ta sama administracja czeska na Zaolziu Niemców, którzy nazwali się już przedko i skład nie Czechami. Wiemy o tym, że ta sama administracja zatwierdza Niemców jako nauczycieli w niewielu pozostałych szkołach polskich na Zaolziu a uświadomionemu polskiemu nauczycielowi nie chce dać rozmyślnie posady, i przedko pozabawia go „świadczenia zaufania”. Wiemy jak to żandarmeria czeska, wypisując „świadczenia zaufania” siedemnastoletniemu chłopcu Polakowi, napisała, że nie może być on lojalnym, bo w roku 1939 należał do „Ozonu” i był bękotem. Dziwny był ten Ozon, który 11-letni chłopaków przyjmował na członków.

Kaz.

Z ludowej poezji bułgarskiej

(Wiersze Iwana Wazowa i Łamara — w przekładzie Zdzisława Jerzego Kempfa)

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze drugą kolejną kolumnę obcej poezji ludowej (patrz „Mirejo” — poemat z prawansalskiego w Nr 21 „Wsi”). Red.

**

Iwan Wazow, jeden z najświetniejszych poetów bułgarskich starszego pokolenia, był w całym tego słowa znaczeniu chluba własnego kraju. Z jednej strony jako działacz i patriotę, uczestnik powstania kwietniowego przeciw Turkom w r. 1876, z drugiej strony jako ten pisarz, który niewyrobiony, ludowy język bułgarski wznosił na wyżyny literackie i przyczynił się do stworzenia szatańczego wiersza. Los rzucał Wazowa po świecie. Twórczość swą rozpoczął w Konstantynopolu jeszcze pod jarzmem tureckim, w Rumunii napisał zbiórki wierszy „Prjaporec i gusla” (Sztandar i geśle) i „Tagite na Balgarija” (Smutki Bułgarii). Zdarzenia wojny serbsko-bułgarskiej z r. 1885 dały mu natchnienie do zbioru wierszy pt. „Sliwnica”. W r. 1886 pod wpływem zamachu stanu wyemigrował do Odessy, gdzie napisał

swą najślawniejszą powieść „Pod igotą” (Pod jarzmem) z dziejów niewoli tureckiej. W r. 1895 uwięziony został z okazji 25-letniego jubileuszu jako poeta narodowy, a w r. 1897 objął godność ministra oświaty. Wojna bałkańska i następnie, od których Bułgaria trzęsła się wszędy i wzdłuż, dostarczyły mu materiału do zbiorów „Pod garmą na pobedite” (Gromy zwycięstw), „Peśni za Makedonija” (Pieśni macedońskie) i „Nowi ekowe” (Nowe echa). Ostatnim głosem jego w r. 1920 był zbiór „Ljuljaka mi zamirisia” (Bzy mi zapachniały). W rok po jubileuszu 50-letniej artystycznej i politycznej działalności, w którym cały naród bułgarski złożył mu głęboki hołd, zmarł ten wódz i wieszcz odrodzonej Bułgarii 20 września 1921.

IWAN WAZOW

Bujne pola

(BUJNITE NIWIA)

O, ciężko, ciężko tutaj! Nagi i spalony
Czatałdży groźny kraj — pustynia w koło głucha!
Tęsknią żołnierze hen, w ojczyście, miłe strony,
Głęboka żalność im jak głąz przytłacza ducha.

Tęsknią do wsi rzuconych w wojny zawierusze,
Do łąk bujnych, które zasiał im ktoś drugi,
Marzą o świętym trudzie tęskne synów dusze,
Tam, gdzie się w czarnych brzdach srebrzą ojców pługi.

Maj jest... Lecz nigdzie trawki żdźbła, ni snu o wiosnie
W bezpłodnym kraju tym, w krąg krwią zroszonym!
Przekleły step! Tęsknica jeno w sercu rośnie,
Srożej uciska piersi z każdym dniem minionym.

Bułgario droga! Gdzieżeś ty? O, kiedy z krajem
Trudu, radości, życia przyjdzie się przywitać?
U ciebie młodość jest młodością, maj jest majem!
Kiedy już zorze twego słońca będą świtać?

Błogosławiony czas! Na północ pociąg leci,
Żelaznych wozów sznur, orężną młodzież ludną...
Walą serca jak dzwoni! Matczy wstęga świeci
Oszołomiony wzrok na świat spogląda cudny!

Tam hen, zielonych niw jasna się ruń wynurza,
Obrazy nieobjęte wzrokiem. Jak wspaniale,
Czarownie niżą się, te pola i te wzgórza,
Kotyszą się leniwie niby morskie fale.

O, tu już mieszka Bóg! Niebiańska tu prawica
Za święty chłopski trud rozrzuca dar obfity,
Nad żytem szumi las, modrawo skrzy Marica
I pieśniarz — słowik lka, w pachnącym gąszczu skryty.

A pociąg leci wciąż, w zielony kraj się nurza,
Pełen żołnierzy młodych, pijanych od zachwyty!
Aż: „Hurra!” z setek piersi bucha niby burza,
I huczy długim echem hen do niebios szczytów!

Hej, kto z tysiąca piersi wydarł krzyk burzliwy?
Jaki dziw! Czy wódz przejeżdżał tam zwycięski
I gromko witał go żołnierski huf szczęśliwy,
Czy Solun padł i z wrażeń się radują kłeski?

Czy żołnierze wspomnieli zwycięstwa w tej chwili,
Czy w zorzy błysła im szlendaru aureola,
Czy matki, dzieci, kochanki swoje zobaczyli?
Niel Oni „Hurra!” tym witali bujne pola.

Anonimowy poeta współczesnej Bułgarii Łamar jest chłopem z pochodzenia. Urodził się we wiosce Kaleja pod miastem Trojan w 1898. Pierwszy raz drukował w r. 1920. Wydał w r. 1922 zbiór wierszy pt. „Arena”, w r. 1927 „Żelazne ikony” oraz w 1928 poemat „Miri razmirmi godini”, który to tytuł można by przetłumaczyć jako „Lata przed burzą”. Łamar jest typowym piewca nędzy proletariatu, o buntowniczym patosie. W carstwie króla Borysa nie mógł przed wojną wystąpić jawnie, krył się pod pseudonimem i ciągle wojował z cenzurą. Można go nazwać poetą - hajdukiem, bo

pod tą bułgarską nazwą hajduk lub hajdukin kryje się to szczególne dla słowiańskiego Południa pojęcie buntownika, partyzanta, który w okresie przemocy tureckiej nad Bułgarię brat szabie i strzelbę i zahurzał się w lasy bałkańskie, wydając Turkowi wojnę podjazdową. Łamar, nowoczesny hajduk, zamienił szabie na pióro i szarpnął z ukrycia krzywdzący proletariatusz reżim własnego cara Borysa. Marzył w wierszach swoich jak Majakowski w Rosji, o „buncie przeciw carowi i bogu”. I do czekał się spełnienia swych marzeń.

Przypisek tłumacza).

ŁAMAR

Za chlebem

(GURBET)

Ten stary zajazd opuszczony
i stupy
i ściany
w ruinie!

Przychodzi z nas każdy zgarbiony,
z toporami, worami, piłami,
w izbach panuje woń pleśni...
Śpiemy
i budzi nas puchacz po nocy
i dalej, dalej ruszamy
pod górę

czy w dół
w świat za oczyma:

Aby spotkać południe na rozdrożach
aby wieczerać w Dolnym Chanie.
aby pić wino
i długo czekać,
aż zorza
okapie szczyty Balkanu.

Matko moja, lata czekasz, niebogo,
kiedy wrócę do domu żniwarze,
kiedy zrzucę z pleców plon pod nogi:
złoto, jedwab i perłową masę.

Nad ziemią położyło się lato,
a pola są żółte i suche;
my — w proch drogi upadłe stado —
przewodnik śpiewa dla otuchy:

— Hej, lata, lata, lata płyną! —
drogman stary zbierał od siwizny,
przeminęło nam życie w obczyźnie,
dźwigać cerkwie w rumuńskich równinach,

Na ramieniu mamy torby puste,
śpiewają nasze piły z wiatrem
spotykają nas o ścieżce koguty
i tak mija, tak przemija lato...

Matko moja, długo czekasz, niebogo,
kiedy wrócę do domu żniwarze,
kiedy zrzucę z pleców plon pod nogi:
złoto, jedwab i perłową masę.

Zagroda

Ruszył skądś pradziadek —
siekiera i krowy jałowe —
ziemia nieobjęta i święta,
rok w rok — syty i głodny.

Osiedli we wsi — chat dziewięć —
siekiera i krowy jałowe —
i padła kośba ciężka,
swadźby podziwily się nowe.

Przyroda i ród się pomnożył,
źródło, w koryto ulata,
kobiety — wszystkie matki boże —
do żłobów nakładły działwy.

Na ploty koguty śmigły,
na jaja legły kokosze,
w kwiat jarzębiny i pigwy,
a szeptem ludzie: Daj Boże!

WOJNA

z poematu „Miri razmirmi godini” (Lata przed burzą)

Czy Ty żyjesz na niebie, Boże?...
Chłopi z manierką pełną
ruszyli w goście
ku piekłu!

Pola porosły cierniem,
Kobiety biją się w biodra
i krowy z pełnym uymieniem
ryczą o wiadra.

Baby składają przed popem
grosz na żalobną mszę,
Święty Duch im popuka
i dusze im zabierze.

Nie ma komu ryc grobu
i rzucić kadzidło na węgle,
dzieci pustą miarką od żyta
udają doboszów na bębnie.

Czy Ty żyjesz na niebie, Boże?
Chłopi z manierką pełną
ruszyli w goście
ku piekłu.

Wrócą oni, wrócą zwyrodniali,
bez miłości i bez sławy
i będą prać baby po żywocie,
w którym diabeł swój płód zostawił.

Fikcyjna rozmowa o Nędzy-Kubińcu

prowadzona przez poetę Piętaka i krytyka Lichanśkiego

PIĘTAK. Skończyliśmy więc druk wyjątków z „Janosika”, — trzecim fragmensem w ostatnim numerze „Wsi”. Skromnie to — na utwór składający się z licznych pieśni, i już teraz dosięgający rozmiarów niemałej książki, — a gdy jeszcze dojdą pieśni niewykończone? Jest to chyba najobszerniejsze dzieło poetyckie, jakie — choć w ułamkach — przesunęło się przez karty „Wsi”, i być może największa taka kompozycja, utworzona przez chłopskiego poetę. A kto wie, czy i na ogólnopolskim terenie — nie jest to utwór wierszowy, najszerzy rozmiarem, z po wojennej polskiej twórczości. Przypuszczam, że pierwszy rok niepodległości pięknie dla nas wypadł, i to co pojawiło się na chłopskim odcinku literackim — choćby taki Pogan, czy teraz poemat Kubińca — jakże przerasta skromne osiągnięcia dawniejsze! Gdyby żył biedny Karol Koniński, dopiero miałby uciechę! Jużby nie tak skromnie wyglądała ANTOLOGIA PISARZY LUDOWYCH, byłaby antologią nie zapowiedzi, a realizacji! Przypuszczam Ci się, że odczuwam żywą przykrość, że „Wies” jest ciasna, że musimy krzywdzić Kubińca i okraivać jego pasję poetycką do paru fragmentów mieszczących się na tych wąskich szpaltach...

LICHANŚKI. No, nie jest tak źle — trzy drukowane wyjątki dają wyobrażenie o charakterze „Janosika”, a i same w sobie stanowią całość, która jest jakby strzępkiem poematu. Pierwszy fragment — opis chaty — to przykład obrazu życia codziennego chłopskiego, łączący elementy realistyczne i liryczne, drugi — uwiędzenie i śmierć Weronki, to wykładnik sentymentalnej klechdy ludowej, obok opisu następnego typowy dla Kubińca element. Wreszcie trzeci: zemsta Janosika, brata uwiędzonej, który morduje pana i podpada dwór, i tak zaczyna zbójnicką karierę — to dramatyczny element klasowego buntu chłopskiego. Tak więc trzy główne tony „Janosika”: liryzm, klechda, rewolucja — odtworzone są w skrócie, w zwięźszeniu, w naszych wyjątkach, i nawet w podobnym układzie jak występują w całości utworu, — w stopniowaniu, od spokojnego opisu poetyckiego, poprzez bardziej ruchliwą opowieść o tragicznej miłości Weronki i pańciza, aż do wybuchowej, najsilniejszej części. Myślę że obawa Twoja, by czytelnicy nasi nie docenili tego utworu, bo jest posiekany, — jest owszem słuszną, ale przesadzoną; powiedziabym żartem, że od czasu gdy jesteś urzędującym Prezesem Oddziału Wiejskiego, szczególnie Ci zależy na świetnych osiągnięciach „naszych” pisarzy...

PIĘTAK. Nie myślę się tego zapierać, ale z drugiej strony nie przypuszczaj, że nie dostrzegam błędów! Przypuszczam ci się szczerze, że „Janosika” czytałem z wysiłkiem, i zrywał się raz po raz; niekiedy aż mnie podrywało, gdy maniera jakiej niestety Stoszek Kubińca nadużywa, stawała się zbyt natrętna — gdy myślniki, wielokropki i mające wywołać nastrój powtórzenia w rodzaju: „Stypa... stypa... stypa...”, gdy wszystkie tak niewspółczesne

efekty stawały się zbyt dokuczliwe — zrywałem się od tej lektury, ale nie na długo! Ciągnęło mnie do poematu, przez który, mimo wszystkich, śmiesznych czasem potknięć — idzie wiew najprawdziejszej poezji... I znów zatapiałem się w nim, — na przykład te przepiękne części liryczne, dajmy na to wstęp do opisu chaty...

LICHANŚKI. Znowu popadasz z jedną krańcowością w drugą! Twoja ocena jest oceną poety, twórcy wrażliwego przede wszystkim na to, co jemu jest najbliższe. Mogłem przewidywać, że właśnie liryzm Kubińca będzie w Tobie jako w li ryku dźwięczał najsilniej. Ja starałbym się znaleźć dla wyjaśnienia poezji Kubińca normy nieosobiste, obiektywne, społeczne. Otóż jako zjawisko społeczne ma „Janosik” znaczenie stokroć większe, niż jako zjawisko literackie. Jakże olbrzymiego wysiłku musiał dokonać ten pogodny góral o wyblakłych oczach i poranej twarzy, który żadnej szkoły nie skończył, by stać się — TWÓRCĄ! Przypuszczam, że różnica intelektualna między przeciętnym adwokatem a jednym z owych literatów, którzy wydali mniej lub więcej udane tomy — nie jest wielką, że wysiłek potrzebny prawnikowi, inteligentowi, lekarzowi — by stać się pisarzem, byłby znacznie mniejszy, niż imponujący skok, jakiego dokonał autor „Janosika”. Gdyby nawet poemat jego nie przedstawiał wartości literackiej, to już ten jeden powód: zdumiewająca praca chłopskiego umysłu — byłby jego dostateczną legitymacją. Ale nawet rozpatrywany jako dzieło sztuki, „Janosik” Nędzy-Kubińca zaiste wstydzić się nie musi, i to dopiero jest powód naszej chwały. Mało tego — ryzykuje twierdzenie, że wnosi on nowy ton do literatury ogólnopolskiej. Myślę, że to właśnie, co wymieniaś jako główną wadę poematu — maniera, jest dowodem osobliwego sukcesu! Bo weź pod uwagę: powiadasz że Kubińca, samouk, wychowany na przypadkowych książkach, związany z epoką literacką już odeszłą, posługuje się nieaktualnym, secesyjnym, ośmieszonym w naszych oczach stylem jakby wyspiańszczyzny... Wydawałoby się, że będzie to coś nie do zniesienia. A jednak POPRZEZ tę manierę, NAPRZEKÓR fałszywej szkole poetyckiej, pomimo nieaktualności języka straszącego dziś — dzieło to przemawia głosem autentycznej, konsekwentnej, wytrzymanej na przestrzeni setek stron — POEZJI. Jak zdrowy instynkt twórcy musiał mieć ten chłop, że CHŁOPSKA RZECZOWOŚĆ, CHŁOPSKA KONKRETNOŚĆ potrafił wyrazić językiem, który się do tego nie nadawał, językiem obcym, przypadkowym, takim jakiego się był w stanie nauczyć! Kubińca uratował ten styl, nadał mu NOWEJ WARTOŚCI!

PIĘTAK. W tej ocenie zgadzam się z tobą najzupełniej, i jestem zdania, że wielki poemat chłopski, jakim jest „Janosik”, powinien być jedną z pierwszych pozycji wydanych nakładem Oddziału Wiejskiego.

Spisał: Z. KALUŻYŃSKI

MIECZYSLAW CZCIBOR-CHOLEWA

Jak Józek Wołoscyk ugwarzował z Pane Jezuse

Stanął roz Józek Wołoscyk, — Kulescykiem zwany, — wedle kaplicki co przy drodze z gór idencej stała i duma se nad syćkim. A ze honorny chłop był, tak z góry ku Panu Jezusowi gwarzy:

— Tyś to jes tym Boge co to Jegomość tolo razy z tego pienterka gwarzy, żeś strasnie dobry i cejco o Tobie spomino? He?

— No?

— Godos?

Podepar sie honornie na losce i hyrnie wzniósł tworz ku Panu Jezusowi:

— Gwarzem do Tobie po dobroci, ozluzuj gambe. Ku mnie mozes godać śmiało, bo jo jus wej stary, starsyk od ciebie, — młodzioku. Bez mała zyjem trzy razy tolo co ty, jo cie nie zdradzem i na pokusenie nie naprowadzem! Tyś to Boge?

— No, godoj, przecie nifto nie stoi przy nos, No obeżyj ze sie jak nie wierzyś!

A ze to był Pon Jezusick Frasośliwy, tak o mało sie nie osplakol nad tą Wołoscykową gwarą. Hej!

Patrzy Józek lepsi ku oporty na rencak twarzi i złutowol sie strasenie jako ze niby zol mu sie zrobilo tego Jezusowego spożrenio.

— Panie Jezu, cy tyś wse taki jakeś jes haw? Strasnie bidny widać, bo cie tolo chudobnie ftoś wyrzezoł ze strak. Mozes i głodny i nimos nijakie przyodziwy. He? Podumol kwilecke i tak ku Panu Jezusowi sie ozwol:

— Wjis Ty co? — Jak cie hań w tym niebie głodnom to mozebyś sie jako wyrwol od Ojca i tego Świaniego Duka i kie niekie cichcem ku moi chałupie przysed? Śmiało Cie sprosom, wyrtnij sie z tantela. Dołbyk Ci moskolicków kielom byś ino doł rady i syra moki i oscypka i coby ta belo, — a baba by ci mlika nawarzyła. Nicego byk Ci nie poskompel ani nie załowol. Haj! Jino przyjdź a obocys!

A ze mu wselenijakie myśli bez głowe przechodziły tak se siod na wancie na prociew kaplicki i duma:

— Moze i zimno Ci wej jes w hańtym niebie? — boś sie przes nijakie przyodziwy hań z ziemi odlisyl.

Dumo se tak jaz cosi przysło mu do głowy:

— Aha! Jes! — godo — jus wiem!

— Nie inacy jeno tak belo — poceno mu cosi switać.

— Nie dali Ci do grobu portek — a teraz to juz ozumie — bajto jino Cie w plachcie okrecili. A tak to wej, bez to nimos wej portek!

— E, wjis, co Ci powiem, to Ci powiem bjidnyś ty. Hej! Prowde jegomość godali ześ z bjidnego stanu, ale wjis ty co? Nie gardze jo tobom, nie gardz ty mną. Przyjdź, sumiennie nagodze cie jodłem a przy hańtym dom ci jesce portki moje. Stare one niby som, ale przecie nifto cie nie bedzie opatrowol w nik. Cytry jesce znać a dziury to moja baba ponadstawio. Na ziemi nie bees, ba w niebie a te janioly to moze i nie widziały portek góralisk to ta bedom myślały, ze tak ci pasuje po niebie chodzieć. Bees miol chodzenie na dwa roki, a jak bees uwazuwol nie chodzieć po ściarnak cy po grapak i maliniokak to bezmała na trzy. Ty ta zreść takima pyrciami nie chadzas. Neale przydała by ci sie jesce jako gunia. I to bedzie. Mo baba zapartom w krzyni pieknom gunie, wysywanom do cudu. Jes ona po niebościku oocu, ale na ciebie bedzie jak ulol. Hej! A ści bedzie. Ale kie ci jom dom to mi sie musis zasumietować, ze jeno przy swiencie bees sie w nij paradziul i cobyś jom sanowol, bo to starodawny zwyczaj, haj. Tak mi ociec przykazowol kie dusa jego z hawtela sła ku insemu światu, tak tys i jo ci przykazuje. Bees se jom nosiel od swienta. Ej, wjis, przez grzychu, jak cie swiento Cecylijo obocy to sie ozmiluje w tobie na zabój. Hej! Ej, cudowali by sie syćka, swiente i janioly. Ej! Ale jesce byk ci cosi dol coby włosnie ci pasowalo i na wielgom władze skazowalo, jeno bojem sie coby ci Pon Bóg cyli Twój Ociec nie wzion, hej.

— Moze i wjis co to?

Wyciongnon z tajemnicym uśmichem mosieźna fajecke z portek i renke ku kaplicce śniom podniós.

— Piekno, co? — Strasnie by ku Tobie sie nadawala — jino hańten Ociec On mi wej po sumieniu chodzi, pewnikiem by Ci

jom wzion, bo On rod pokurzuje, ale dom Ci na to rade:

Bocys, jakoto wse ludziska godajom „Panu Bogu wierz, jino mu barz nie ufoj”. Takos samo i Ty, z Pane Boge niby z Twoim Oćcem pieknie godoj, syćko przykwoluj i na syćko przykiwnij, ale fajecke strzyc jak oka w głowie, bo pewnikiem by sie Oćcu udała, bo przecie po prowdzie rzec do cudu jes.

A mozeby Ci zbroniel fajcyć? He? Ześ to niby jesce młodziok? Co? Przecie Ci nimoze zaprzycać, bo swoje roki na hawto mos, haj. Jus ta i mnie nie jeden kciol jom skaś. Hej! A Ty sie ta nie pogniwoj, ze takie gwary prawie do Tobie, ale wjis ze jo bezmała rzy razy tolo zyjem, to ta końduś lepsi wiem jako co na swiecie i jako to nowiejsi umiom przykładać. Hej! Doświadczenie w te maści mom niezgorse. Tyś bjidny wej jes, to ta niwdy nifto Ci za zycio nie robiel na despet, to ta wierzyś w sprawiedliwość, ale jo końduś od Cie bogatsy, to ta wse cosi kajsi mi nie jeden cichcem ukradnie. To tys co sie ty cy fajecki, to Ci przykazuje cobyś jom strzyg, bo ta niejeden na niem w niebie chrapke, bee miol. Bo, ta mimo Oćca jesce swianty Pieter, Powel, cy jesce insy tys pokurzuje, haj!

A kieby Ci sie trafunka pytali skond ześ jom wzion, to sie nie zapiroj, ba powidz, ze Ci jom doł Józek Wołoscyk, fto-rego nazywaja Kulescyk, a ftozy misko na Dziolnyk Oblazak w górak. Ale drogi to ta im nie wskazuj boby hurmom syćka po fajecki sie zlecały. Hej! A Pon Bóg i Pieter Pawel to mozeby po kielka lo sobie janiolów przyswali. Haj! A przecie tako fajecka pienć duków dzisiejsyk wortności mo.

Uśmiechnął sie Józek ze swojego wydumanio. Podseł ku kaplicce i sprzymierzowol fajecke ku tworzy Panjezusowej.

— Pieknie Ci bedzie, do cudu, jak cy-sor, haj.

Śmiał sie przy tym, ciesyl, a honor teli w sobie miol co nigda. Bo se dumol ze to niby on, Józek Wołoscyk fajke Panu Jezusowi daje, i do tego jesce tolo paradnom co jaze sie skliła do sionecka raniejszego. Starśnie bel rod.

— Bee Ci strasnie pasowalo, a ści bedzie. Tak wej widzis, nie na dziada trafiuleś jacy na gazde. Syćko dom co Ci potrza.

Zwysyl ocy, pozio ku Panu Jezusowi i obocył ze on bośo.

— O, skoranie boskie, to Cie tak wej wyrzykowali, ze przez kierpcy chodzisz? Jezusicku osomilsy, tak Cie wej poniewierajom? To i kierpcy bees potrzebowl! Ale w tym sek, bo kyrpiec nimom, ba, jino te co na nogak. To tyz tyk Ci nie dom, bo w cynze byk chodziel? Ty ta sie mi widze nie napiros neale widze ze Ci trza. Niby som jes stare kyrpce na sople, co ik Jagna prasła, neale musiol byś moki smat na nogi dać, bo dziury som, to by Cie moze i obmierzło. Haj! — Ale wjis Panie Jezu, zrobmy ukłód a odżałujem i sprawiem Ci kyrpce nowe. Bo Ci zaroz wyonace syćko jako belo, co jes, i bez co jo haw do Tobie przysed: poselek se dziska do kościola jako ze zwyczajnie przy swiencie. Siedzem se tak, poziorom jak ta Twój pacholek, niby ksiadz godo, stobom, niby tak akurat jako jo do Tobie, jino nic a nic nie ozumiolek, bo on tak gwarzył coby my wsiowi nie wiedzieli co i jak stobom akwaltuje, moze i przeciw nom. A moze. Tak wej! Pewnikiem przeciw nom do Tobie gwarzył, bo kie wysel na pieterko, jak sie nie ospajedziel na nase dziewczki i chodoków ze to niby po sopak razem ze sobą sypiajom i omalo po nazwisku nie skazywol, hej! Tak Ci mie to wej ozniesło, ze kie nie stane, kie nie chyce za ciupage i ku jegomościowi nie wrzasne — „A cy jo jegomości nie widziol? He? Cy to jegomościowi wolno? Co?” Niezdolilek dokoncyć, bo sie rumol w kościele zrobil. Jedni na mnie poceni wrzesceć, ze poniewie rom swientom osobom, insi zaś przeciwiw ksiendzu, ze nibyk mu prowde swientom przepedziol. Haj!

Ale jegomość pocen w te kwile o Tobie gwarzyć Panie Jezu, ześ syćkim odpuscol grzychy, i godol ze grychym jes wygadować i publikować jesce do tego w kościele cudze grzychy. Jesce ta cosi fafrol przeciw mnie ale jo jus nie slsyal, ba,

wsiałek z ławki i wyselek. Pod dzwierzami stanolek i ku jegomościowi z cale sieły krzyknonek: „Czyli fto mo wienksy grzych cy jo jeno jednygo grzychy publikuje, cy jegomość co grzychy syćkik chodoków i dziop ze wsi wygaduje? A moze ta nikogo i nigdy nie znasel. Hej! Chocia by zreść naseł na kogo, to poco on by po sopak chodziel? Ści nie po co insygo jino za dziopami. Przecie go znasel! Haj! Ej, wiera, jak sie jegomość ozełil wtej jak nie pocnie kunierować i zemstować mie i jesce Tobie Panie Jezu wolol cobyś mie pokoroł, w piekło rzucił a haw cobyk nogi polomol. Jo sie ino cześmiolek, bo przecie wiem, ześ ta przecie nie tolo zły co on gwarzy, a jesce kie Cie obdarujem to ta jesce jego ofuknies. Wic tak wej przepedziol, ale juz z pola: „Sowoj ze se ty wej tego Jezusicka do torebeki i noś wse przy sobie, cobyś nie bel taki ozluzowany ku naskim dziewczkom, haj. A jo se wolem oscypka i moskolicka do torebeki sować”. Hej!

Slysolek ze ta jesce moki krzycol przeciwiw mnie i barz ziebzil sie ale jo juz za cmentorzem na drodze belem wienc nie pedziolek, ba ide i dumom se tak nad syćkim, jaze przyselek haw ku kaplicce, do Tobie, i lutujem się ze takigo przekornego sluge mos i skartem się do Tobie.

— Skoranie boskie z tym naszym jegomościem. Przecie ta i jo nie przez grychu neale jegomość za duzo na insyk godo, haj. Chocia jo to za nijaki grzych nimom te wselenijakie lubości, boś ta przecie Ty hańte stworzel! To tyz co za grychy kie ześ ty tyma lubościami obdarzel syćkik? Nijaki! Jak ześ Ty Pane Boge, toś syćko Ty stworzel, bajto, nawet grzychy. Hej! To tyz pewnikiem rod z nieba pozor kie jako dziwka miltje chłopca, kań na kosarze przy owcach, cy w kolibie, cy ta keń na ubocy. Hej! Wsej! Pewnikiem ze hej! A ści! Rod poziorol!

— To tyz skrudł tygo dzisiejszego kazanio zrobmy ukłód: ze Ty precki przezenies z hawtela jegomości a jo Ci za to tyk portek, guni i fajecki dodom jesce przez zapłaty kyrpce i nowiucki kapelus z łańcuske i pas zbojnicki po dziadku i spinecke starodawnom. Hej! No? Dobrze. Wystarczy Ci, czy nie? Nimos przecie nic wielo to lo Tobie powinno wystarcyc haj! Zreštom miol byś se krzydować to Ci na przyczynek dom jesce i ciupage. Neale teros w tym syćkim to byś juz naprowde wyglondol jako cyssorze chodzajom. Som jeden między swientyma. Wjis Ty pieknie by Ci belo. Kie jesce bees miol jasności janielskie na sobie to juz na iment bees wielgi prym w niebie wodziel!

He! I Ociec i Duk Swianty i Pieter Pawel i ci insi strasnie bedom ku Tobie bocyli — (przysunel się blizy i cichcem zagworzył): a juz ta Cecylijo to juz jak jamen w poczu bedzie się ku Tobie miała, haj! A i Magdalena sie moze do cna w Tobie ozmilować i jesce bee sie wprosała do Tobie. Hej! Przez grychu!

A Ty se jeno bees po niebie chodziel, drzywka opatrowal i syćko doglondowal, na niesformy bees miol ciupage a równym sobie fajecke pod nos bees podstawiol, coby im zol belo ze nimajom. Hej! Cyknon bez zembiska baga wyciongnon kapciuch z torbecki, wyjon śniego scypie tytoniu, wymiendlił go w rękak, popluł co by się lepsi fajcylo, wetkal w fajke — zakrzesał i przykurzył.

I zaś zacón wydumywać o Panu Jezusie, o jego bjidzie i o tym dzisiejsym zdarzyniu.

— Jo Cie ta jesce nie widziol, cobyś kie sloz z hańtela i chodziel po ziemi. Nie dziwiem się tyz, boś przez przyodzienio jes. Ale tera, kie cie obdaruje, to i do kościola pudzies i obocys ze mom rekt. I po górak sie przeńdzies, coby Ci sie nogi osprosiowaly z tygo wiecznego ciupienio w ty kaplicce.

— Dyć to prowdiwy haresć. — Jo by nijake swiate nie wytrwol. Mos tyz nie zwyczajnom wolom. Prowdziwie to jegomość pado. Jino to publikowanie mi się u niygo nie widzi, skoro i jo go capnon i o mało nie wybiel — ze to niby duchowno osoba — do dziewczki sie nie przyzeni — bo i nimoze. — a cyni.

— To tys pytom Cie Panie Jezu, cobyś tygo jegomości przezenon precki stela.

Na piykne fajcyzna pocena się dymić w gębie gazdowskiej. Trocha to ocnielo

siwygo Kulescyka. Tak ci zbocyl ze jino on ku Panu Jezusowi gwarzy a Pan Jezus ku niemu nic, jakoby go mion za nissego sobie. Zgniwało to starygo i wie gwary pocyno prawic:

— Jak ześ wej Paneboge, to zrob mi cok Ci wyonaceł, a jak ześ nie jes, to chybaj stela, bo inacy Cie som prec przezeno, — bajako, — przezeno.

Zreštom odstapielo go zle i zaś po dobroci prawi:

— Nie pytom Cie Panie Jezu ani o niebo, ani o piekło, ani o cyściec, ani o odpuszenie grychów, ba jeno cobyś prec przezenon hańtygo huncfota, co dziewczki lubi a u nik tolo zła widzi.

Obežrol się Józek a tu ci juz walnie luda z kościola ku osiedlom sło. Końduś sie ta i opamientol a i zewstydziel i wartko coby go nifto nie dožroł za kaplickom przycupnel, Uciekać już nimioł ka. Idą ludziska welo kaplicki a tolo ugwarzują co nigda. A syćko skruć tego kulescykowego odgrozanie w kościele.

Stary Pekska z babom się prawuje i o mało sie już nie bijom:

— Cicho ze byś był juz stary, ty ozluzowano kufo, ty hyclu, ty... za ciekem bees obstowol, a za swientom osobom ni? Juz to jo ci doma kufe orbijie, ty ozwolnione ścirwo.

— Nie wrzesc tolo, — rzecę Pekska, — Józek mion rechł.

— Juz ta mozes i pił śnim, ze za nim trzymiesz, ty psiawiaro jadowitol!

— Widzem, — pado Pekska, — ześ i ty reifurko odwiedzala plebanie.

— Do tobie o tym nie gwarzem. — Coz ty moze zbroniol mi bees do swienty o-soby przyjś, ty lucyferze, polciu, zwyrtiacu...

Baba sie tolo napajedała ze i zemby jiz wysly na wirch przedo kufe i scekto ku chłopu a dojado jako nieprzymierzający pies na cygana.

Ozgniwało to juz i chłopu i jak sie nie siepnie i nie skocy z ciupagom ku babie:

— Zaprzyj ze jus roz pysk ty sekutnico świńsko! — tak ci baba jaz przysiadła na zadku bojca i jacy niemilo woł dosta jaz do Wołoscyka.

— W imie Ojca i Syna, — pado Józek k sobie, — cos to rwetusu między ludziami narobielek. A syćko skruć tygo psiawiare jegomości. Toz to skuć mie ino babe by na śmierć ozraboł, kieby dali gwarzyła k niemu.

Wręście ci przešli.

Idą zaś same baby i niewiedzom co juz prociew Józka gwarzyć:

— A to niedowiarek.

— Na swientyk rzecak by se zemby csirzył.

— Powinna mu baba ślipia wypalić.

— Nie trza baby same my mu to mozem zrobić.

— Przecie ksiadz pedziol, ze swięto ziemia nie powinna takiego nosić.

— Ej, dom tyz jo swoji Marcie, bo ta na niem jegomość poziorol, kie o zwyrtacce prawiel.

— Ciewy! Moze być on jino na grzynyk poziorol. Pewnikiem moja Jewka z wasym łaskiem spała, kumo. Bo ta on ku ni podchodzi. Jus byk na wos nie poźrała.

— Co zaś prawicie. A cós wy mocie do mojego Jaska? Przecie jo go wychowała do Boga, do ludzi. Jeno bez tyk gwar!

Poceny się pomalućku kumoterki swarzyć. Ta o Jagne, ta znów o Kasie, a ta o Jadwisie. Inse zaś bronilej swoik synów.

Telo sie zeżliły, ze i kozdo co na fitorom wiedziola to prawila.

— A tyś to nie spała przedwocześnie?

— A ciebiem to niewiedziolak roz z nieboscykiem księdzem.

— Zeczywiście, — pado jedna swiatlejšo, — miol rechł Józek. Pilnowaly byście se dziopy.

— Do rzyci z Józkiem, a cd swientyk osób wara. Cok robiela, tak robiela, alek dziecka z cyganem nimiala i ku chałupie niwdy nic nie przynieslak. A ty?

Józkwio jaz włosy stawaly na głowie a caluskie cialo jaz wilglo. Twarz calo w rosie miol.

— Co tyś skruć mie i tego jegomości na swiecie sie dzieje? — dumol. Poie sly wedle kaplicki chopcy i dziwcenta.

Te tys sobie docinaly:

(Dalszy ciąg na str. 7-mej)